

Klasyka literatury



e-tekst.pl
twoja czytelnia

KU MAPIMI

Karol May

WŁADCA SKAŁ

Podróżowali bez służącego i bez przewodnika. Za drogowskaz służyła im mapa Meksyku. Choć żaden z nikt nigdy nie odbył tej drogi, nie zbłądzili ani razu.

Dzielił ich może dzień jazdy od hacjendy. Przemierzali właśnie równinę, na której gdzieniegdzie rosły kępy zarośli. Sternau — najbardziej doświadczony uczestnik wyprawy — zwracał uwagę na każde pomięte źdźbło, na każdą nadłamana gałąź, na każdy kamyk, który mu się wydawał podejrzany. Długi czas jechali w milczeniu. Nagle Sternau zwrócił się do towarzyszy:

— Nie odwracajcie głowy ani w prawo, ani w lewo, patrzcie uważnie wprost, na ten gęsty krzak mydlodrzewu, tam na prawo od wody.

— Co zobaczyłeś? — zapytał Mariano.

— Człowieka na czatach. On leży, a za nim stoi koń.

— Nic nie widzę.

Unger również wyteżał wzrok, ale na próżno.

— Wierzcie mi — powiedział Sternau — tam naprawdę ktoś jest. Ale nie macie mojego doświadczenia, by w tej gęstwinie dojrzeć człowieka i konia. Kiedy wezmę strzelbę do ręki, zróbcie to samo, ale nie strzelajcie, dopóki ja nie zacznę.

Jechali dalej, aż dotarli do zarośli. Sternau raptownie zatrzymał konia, zdjął szybkim ruchem strzelbę z ramienia i wycelował w kierunku krzaków. Unger i Mariano sekundowali mu skwapliwie.

— Hola, mój panie, czego tam szukasz na ziemi? — zawołał Sternau.

Rozległ się krótki, rubaszny śmiech, potem dały się słyszeć słowa:

— Co was to obchodzi?

— Nawet bardzo — odparł Sternau. — Bądź pan posłuszny i wyłaź z krzaków.

— Dobrze, okażę wam tę grzeczność.

Poruszyło się w zaroślach. Wyszedł z nich człowiek okryty szczelnie bawołą skórą. Twarz jego wskazywała pochodzenie indiańskie, ubranie jednak podobne było do stroju, który przywdziewali zwykli łowcy bawołów. Uzbrojony w strzelbę i nóż, wyglądał na śmiałka, który by się diabła nie uląkł. Gdy wyszedł zza krzaków, koń ruszył za nim.

Nieznajomy obrzucił naszą grupkę badawczym spojrzeniem i powiedział:

— Nieźle sobie poczynacie, seniores. Można by przypuszczać, żeście zaznajomieni z prerią.

Sternau zrozumiał natychmiast, o co mu chodzi, ale Mariano zapytał:

— Dlaczego?

— Bo udawaliście, że mnie nie widzicie, aż nagle przyłożyliście strzelby do oka.

— To, że przyczał się pan w gęstwinie, wydało nam się podejrzane — rzekł Sternau. — Co tam senior robił?

— Czekałem.

— Na kogo?

— Nie wiem. Może na was.

Sternau ściągnął brwi.

— Nie czas na głupie żarty.

— Racja. Ale musicie mi wpierv powiedzieć, dokąd zdążacie.

— Do hacjendy del Erina.

— W takim razie na was czekałem.

— Wynika stąd, że o naszym przybyciu wiedziano i wysłano seniora naprzeciw.

— Coś w tym rodzaju. Polując wczoraj w górach na bawołu, odkryłem w drodze powrotnej podejrzane ślady. Poszedłem za nimi i natrafiłem na gromadę białych, którzy leżeli obok siebie i głośno rozmawiali. Podśledzałem, co mówili. Z ich słów wynikało, że chcą schwytać jeźdźców podążających z Meksyku do hacjendy del Erina. Wyruszyłem natychmiast, by ostrzec tych ludzi.

Sternau podał mu rękę.

— Prawy z pana człowiek, dziękuję. Może senior być spokojny, to my właśnie jedziemy do hacjendy. Ilu ludzi naradzało się nad schwytaniem nas?

— Dwunastu.

— Chciałbym pogadać sobie z nimi. Ale nie ma sensu narażać się na niebezpieczeństwo.

— Oczywiście — powiedział nieznajomy nie bez ironii.

— Dokąd pan jedzie? — zapytał Sternau, puszczając tę uwagę mimo uszu.

— Do hacjendy. Czy mam was tam poprowadzić?

— Bardzo proszę.

— Więc jedźmy.

Dosiadł konia i ruszył na czele. Według indiańskiego zwyczaju pochylił się na pędzącym koniu, by wypatrzeć każdy ślad na ziemi. Wieczorem, gdy trzeba było urządzić nocleg, okazał się tak doświadczony i zręczny jak preriowiec najwyższej klasy. Zaproszony przez naszą trójkę, przyłączył się do posiłku, wypalił również papierosa, gdy jednak zaproponowano mu łyk rumu, odmówił. Ze względu na grożące niebezpieczeństwo nie rozpalono ogniska, rozmawiano więc po ciemku.

— Czy zna pan mieszkańców hacjendy — zapytał Sternau przewodnika.

— Oczywiście.

— Kogo tam zastaniemy?

— Przed wszystkim seniora Arbelleza, hacjendera, senioritę Emmę, jego córkę, seniore Hermoyes, wreszcie pewnego myśliwego, któremu odjęło rozum. Ponadto jest tam czeladź oraz czterdziestu vaquerów i cibolerów.

— Należy senior zapewne do cibolerów?

— Nie, jestem wolnym Miksteką.

— Miksteką? W takim razie musi senior znać Mokashi-tayissa, wodza zwanego Bawolim Czołem.

— Znam go.

— Gdzie jest teraz?

— Raz tu, raz tam, dokąd go zapędzi Wielki Duch. Gdzie słyszeliście o nim?

— Imię jego słynie szeroko, nawet za wielkim morzem.

— Rad będzie, gdy się o tym dowie. Jak mam was nazywać, seniores?

— Ja jestem Sternau, ten senior to Mariano, tamten Unger. A pan?

— Miksteką. To wystarczy.

Udali się na spoczynek. Każdy pełnił po kolei nocną służbę. Następnego ranka wyruszyli w drogę. Około południa ujrzeni przed sobą hacjendę. Miksteka zatrzymał się i wskazał ręką.

— Oto hacjenda del Erina, teraz już do niej traficie.

— Czy nie pojedzie pan z nami? — zapytał Sternau.

— Nie, moja droga prowadzi do lasu. Bądźcie zdrowi.

Spiął konia ostrogą i pocwałował na lewo. Sternau, Unger i Mariano podjechali ku bramie.

Na pukanie Sternaua zjawił się jeden z vaquerów z pytaniem, czego chcą.

— Czy senior Arbellez w domu?

— Tak.

— Powiedz mu, że przybyli doń goście z Meksyku.

— Jesteście sami, czy nadjedzie was więcej?

— Jesteśmy sami.

— Otworzę więc bramę.

Odsunął rygle i wpuścił jeźdźców na dziedziniec. Zeskoczyli z koni, vaquero powiódł je do wodopoju. Na ganku domu powitał ich hacjendera. Podał rękę Sternauowi, po czym wyciągnął ją w kierunku Mariana. Mariano miał twarz odwróconą, oglądał się za koźmi. Kiedy spojrzął na Arbelleza, ten cofnął się zdumiony i zawołał:

— Caramba! To hrabia Manuel! Ale niemożliwe, przecież hrabia jest znacznie starszy!

Chwycił się za głowę. Po chwili wzrok jego padł na Ungera. Znów zawołał, załamując ręce:

— Valga me, Dios! Boże, nie opuszczaj mnie! Czy jestem zczarowany?

— Co się stało, ojcze? — dał się słyszeć dźwięczny dziewczęcy głos.

— Chodź tu, moje dziecko. To zdumiewające! Przybywa trzech panów: jeden z nich jest podobny jak dwie krople wody do hrabiego Manuela, drugi zaś do twojego biednego narzeczonego.

Emma wyszła na ganek uśmiechnięta. Na widok Ungera spoważniała jednak.

— Rzeczywiście, ojcze. Ten pan wygląda zupełnie jak mój biedny Antonio.

— Wszystko musi się wyjaśnić — hacjendera uspokoił się już trochę. — Witam was, seniores, wejdźcie do mojego domu.

Uścisnął ręce Marianowi i Ungerowi i zaprowadził wszystkich do jadalni, gdzie podano im posiłek. Unger podnosił właśnie szklankę do ust, gdy nagle znieruchomiał. Odstawił szklankę. Wzrok jego spoczywał na otwartych drzwiach, w których stała jakaś blada postać, wpatrzona w przybyszów błędnym, pozbawionym wyrazu spojrzeniem. Unger podszedł ku niej.

— Czy to nie sen? — zawołał. — Antoni, Antoni! O mój Boże!

Mężczyzna spojrzął na niego i potrząsając głową jęknął żałośnie.

— Umarłem, zabito mnie. Unger zwrócił się do Arbelleza:

— Kim jest ten człowiek?

— To narzeczonej mojej córki. Nazywa się Antonio Unger, myśliwi nadali mu przydomek Piorunowego Grotu.

— A więc to jednak on. Bracie mój, bracie...

Objął Antonia i przycisnął do piersi. Chory przyjmował to obojętnie. Patrząc nie widzącym wzrokiem w twarz brata, powiedział:

— Zamordowano mnie, nie żyję.

— Co się z nim stało? — Unger pytał dalej.

— Jest obłąkany — odpowiedział Don Pedro.

— Obłąkany? O mój Boże!

Złapał się za głowę i usiadłszy na krześle, głośno zapłakał. Wszyscy otoczyli go kołem, przejęci bólem kapitana. Po chwili Arbellez położył mu rękę na ramieniu.

— Więc naprawdę jest pan bratem seniora Antonia?

Unger spojrzął na niego.

— Naprawdę.

— Pan jest marynarzem? Opowiadał nam wiele o panu. — Umarłem, zabili mnie... — jęczał chory.

Sternau przez cały czas nie spuszczał oka z nieszczęśliwego. Teraz zapytał Arbelleza:

— Co spowodowało chorobę?

— Uderzenie w głowę.

— Czy badał go lekarz?

— Tak. Wiele razy.

— I powiedział, że nie ma ratunku? W takim razie to nieuk, ignorant. Niech się pan uspokoi, panie Unger. Pański brat nie jest obłąkany, tylko umysł ma przyćmiony, a to da się wyleczyć.

Emma Arbellez z radosnym okrzykiem podbiegła do Sternaua i chwytając go za rękę, zawołała:

— Czy pan mówi prawdę?! Jest pan lekarzem?!

— Tak, jestem lekarzem i spodziewam się, że nie wszystko jeszcze stracone. Gdy się tylko dowiem szczegółowo, w jakich okolicznościach uległ temu wypadkowi, będę mógł stwierdzić, czy ratunek jest możliwy.

— Więc opowiem panu.

— Nie, seniorito, nie teraz. Odłożymy to na bardziej odpowiednią, spokojniejszą chwilę. Teraz musimy omówić inną sprawę, równie ważną i pilną.

Emma, acz niechętnie usłuchała Sternaua i wyprowadziła chorego.

— Czy moja hacjenda była ostatecznym celem podróży panów? — rozpoczął hacjendero.

— Tak.

— Znaleźliście ją bez przewodnika?

— Mniej więcej. Dopiero wczoraj spotkaliśmy człowieka, który nas odprowadził aż tutaj. Był to Indianin z plemienia Miksteków.

— Miksteków? W takim razie to Bawole Czoło.

— Bawole Czoło? — zdumiał się Sternau. — Ale nie miał żadnych odznak wodza.

— Nie nosi ich nigdy. Okrywa się zwykle bawolą skórą, za broń służy mu strzelba i nóż.

— W takim razie to na pewno był on. Jechaliśmy z Bawolim Czołem, wcale o tym nie wiedząc. Czy zobaczymy go jeszcze?

— Zazwyczaj krąży po tych okolicach. Zostaniecie tu przez jakiś czas, prawda?

— To zależy od okoliczności. Kiedy zechce pan posłuchać, co nas tu sprowadza?

— Zaraz albo później, jak pan woli. Czy ta sprawa musi być załatwiona od razu?

— od razaz Nie. Tym bardziej, że podchodzić do niej należy bardzo ostrożnie. Chodzi tu o pewną tajemnicę rodzinną. Do jej wyjaśnienia potrzebna nam pomoc pana i Marii Hermoyes.

— Jestem do pańskiej dyspozycji, niech pan jednak pozwoli, abym naprzód wskazał panom ich pokoje.

Indianka Karia zaprowadziła do nich gości. Sternau otrzymał pokój, w którym zwykle mieszkał hrabia Alfonso. Umywszy się i ogarnąwszy po przebytej drodze, zszedł na chwilę do ogrodu. Tu spotkał córkę Arbelleza siedzącą obok obłąkanego. Wstała i poprosiła gościa, by usiadł przy nich. Sternau usadowił się tak, żeby mógł obserwować chorego i nawiązał z senioritą rozmowę. Wkrótce dowiedział się o przygodzie z królewskim skarbem w pieczarze oraz o przyczynie choroby Ungera. Słuchał uważnie, gdyż opowiadanie interesowało go nie tylko z medycznego punktu widzenia.

— A więc Niedźwiedzie Serce był tu również? — przerwał w pewnym momencie. — Czy wódza Apaczów widziano od tego czasu?

— Nie.

— I całe to nieszczęście z powodu jednego człowieka, z powodu tego Alfonsa Rodrigandy! Ale już niebawem odpokutuje za wszystkie swoje łajdactwa.

— O, senior, czy rokuje pan jakieś nadzieje na uleczenie mojego Antonia? Podczas gdy pan był u siebie w pokoju, jego brat opowiedział mi, że jest pan sławnym lekarzem i że uleczył pan z obłądu swoją małżonkę.

— Najlepszym lekarzem jest Bóg. Mam nadzieję, że on nam pomoże. Czy Antonio jest cierpliwy?

Czy pozwoli się zbadać?

— Tak.

— Mam ze sobą instrumenty. Chyba wziąłem wszystko, co będzie mi potrzebne.

Ujął chorego za rękę. Unger poszedł za nim posłusznie. Emma pobiegła do swego pokoju i uklękła przed świętym obrazem, by się pomodlić. Gdy wróciła do salonu, wszyscy byli już w nim zebrani i oczekiwali na wyrok doktora. Kiedy zjawił się, zasypano go pytaniami.

— Przynoszę dobrą nowinę — odpowiedział z uśmiechem. — Uleczę seniora Ungera.

Rozległy się okrzyki radości. Ciągnął dalej:

— Uderzenie było niezwykle silne, ale nie uszkodziło czaszki, tylko pewne naczynia krwionośne. To spowodowało utratę pamięci. Unger zapomniał o wszystkim z wyjątkiem tego momentu, w którym zadano mu cios, chcąc go zabić. Dlatego jest przekonany, że umarł. Uleczę go tylko wtedy, gdy otworzę mu czaszkę i usunę krwiniak, który uciska mózg.

— Czy to niebezpieczna operacja? — zapytała Emma z niepokojem.

— Jest bolesna, co prawda, ale niegroźna — pocieszał ją Sternau. — Jeżeli państwo mnie upoważnią, przeprowadzę ją jutro.

Wszyscy wyrazili zgodę, Arbellez zaś dodał z uśmiechem:

— Co do honorarium, nie powinien senior mieć żadnych obaw. Chory jest bogaty, otrzymał z królewskiego skarbu, ukrytego w pieczarze, podarunek, który mu pozwoli opłacić pańskie zabiegi.

— To nie najważniejsze. Miejmy nadzieję, że operacja całkowicie przywróci Ungerowi świadomość — rzekł doktor.

Po kolacji Sternau wyjawiał mieszkańcom hacjendy, w jakim celu przybył do del Erina. Opowiadania Arbelleza i Marii Hermoyes utwierdziły go w dotychczasowych przypuszczeniach. Nie wątpił już — inni także nie — że Mariano jest prawdziwym hrabią Alfonsem.

Następnego dnia miała się odbyć operacja. Sternau poprosił Ungera, Mariana i Arbelleza o asystowanie. W samo południe wszyscy czterej udali się do pokoju chorego. Do korytarza, łączącego ten pokój z resztą domu, nikomu nie wolno było wchodzić, a w całym mieszkaniu miała panować niemal grobowa cisza. I tak się stało. Kilka razy tylko z pokoju, w którym przeprowadzano zabieg, słycać było coś w rodzaju bolesnego łkania lub głośnego, przeraźliwego krzyku. Wreszcie wszystko ucichło. Po pewnym czasie wszedł do salonu Arbellez, blady i wyczerpany.

— No i co? — Emma zerwała się z fotela.

— Senior Sternau jest jak najlepszej myśli. Antonio jeszcze nie odzyskał przytomności. Masz wejść do niego i zostać przy nim.

— Ja sama?

— Nie, razem ze mną. Gdy się obudzi, powinien zobaczyć znajome twarze.

Emma poszła za ojcem. Na górze spotkali kapitana Ungera. I on był blady i zmęczony. Gdy weszli do pokoju chorego, doktor stał pochylony nad łóżkiem i mierzył Ungerowi puls.

— Seniorito, niech pani tak usiądzie, by mógł panią zobaczyć natychmiast po przebudzeniu. Ja zaś ukryję się za kotarą — szepnął.

— Jak długo potrwa, zanim odzyska przytomność? — spytała Emma.

— Najwyżej dziesięć minut. Wtedy rozstrzygnie się, czy pamięć wróciła. Czekajmy i módlmy się.

Sternau stanął za kotarą, Emma usiadła na łóżku, Arbellez obok niego. Każda minuta wydawała im się wiecznością. Wreszcie Antonio poruszył ręką.

— Proszę się nie lękać — szepnął Sternau. — Może nawet krzyknąć z przerażenia, jest bowiem przekonany, że go zabito.

Doktor nie pomylił się. Chory drgnął nagle gwałtownie, po czym zeszywniał na kilka sekund.

Widocznie wracała mu świadomość. W następnej sekundzie wydał okrzyk tak przeraźliwy i przejmujący, że Arbellez zadrżał, a Emma musiała się chwycić za poręcz łóżka, by nie spaść. Antonio westchnął bardzo głęboko i... otworzył oczy. Obecni mieli wrażenie, że budzi się ze snu. Popatrzył naprzód prosto przed siebie, potem na lewo i prawo. Gdy wzrok jego padł na Emmę, otworzył usta i wyszeptał:

— Emma... O Boże, śniło mi się, że Alfonso chciał mnie zabić, spotkałem go w jaskini, w której ukryty był królewski skarb. Czy naprawdę jestem u ciebie?

— Tak, jesteś u mnie, Antonio — odpowiedziała, biorąc go z ogromnym wzruszeniem za rękę.

Chwycił się nagle za głowę.

— Ale głowa boli mnie właśnie w tym miejscu, gdzie zostałem uderzony. Dlaczego mam bandaż, Emmo?

— Jesteś lekko zraniony.

— Aha... Wszystko opowiesz mi później. Teraz chce mi się spać, jestem bardzo zmęczony.

Zamknął oczy. Za chwilę zaczął oddychać miarowo. Sternau Wyszedł zza kotary i rozpromieniony powiedział:

— Wygraliśmy, udała się operacja. Jeżeli gorączka przejdzie, będzie zdrow. Niech pan zejdzie na dół, senior Arbellez, i przekaze domownikom dobrą wiadomość. Będę tu czuwał wraz z senioritą.

Nowina, którą przyniósł Arbellez, napełniła mieszkańców hacjendy nieopisaną radością. Następną dobą minęła pomyślnie. Tylko rankiem zaniepokoiili się trochę, nie było to jednak związane z osobą chorego. Przyjechał Bawole Czoło i kazał się zaprowadzić do Arbelleza. Powiadomił go o planowanym zamachu na hacjendę. Arbellez, ochłonałszy z wrażenia, zaproponował:

— Pójdę po seniora Sternaua.

— Po wielkiego nieznajomego, którego tu przyprowadziłem? — zdziwił się Indianin. — Po co on potrzebny?

— Chciałbym się z nim naradzić.

— Kim jest ten człowiek? — w głosie Indianina czuć było lekceważenie.

— To lekarz.

— Lekarz bladych twarzy. Jakże on może dać dobrą radę Bawolemu Czołu, wodzowi Miksteków?

— Powinniście zastanowić się razem, co czynić. To człowiek wielkiego umysłu. Zrobił wczoraj Piorunowemu Grotowi operację głowy, przywrócił mu rozum i pamięć.

— A więc mój przyjaciel Piorunowy Grot znów wypowiada rozsądne słowa?

— Tak, będzie zdrow za kilka dni.

— Senior Sternau jest wielkim lekarzem, mądrym chirurgiem, ale nie wojownikiem. Czy widziałeś jego broń?

— Tak.

— Czy widziałeś, jak jeździ konno?

— Widziałem z daleka.

— Więc wiesz, że ten człowiek siedzi na koniu jak blada twarz, a broń jego lśni jak srebro; nie zdarza się to wielkim wojownikom.

— Nie chcesz się z nim naradzić?

— Jestem przyjacielem hacjendy, więc przystaję na twoją propozycję, ale nie będzie z tego żadnego pożytku. Sprowadź go.

Po chwili Arbellez wrócił w towarzystwie Sternaua. Po drodze opowiedział doktorowi, co oświadczył wódz Miksteków. Sternau powitał Indianina z uśmiechem.

— Słyszałem, że zowią seniora Bawole Czoło i że jesteś wodzem Miksteków. Czy to prawda?

— Tak, jestem Bawole Czoło, wódz Miksteków.

— Jakie nam przynosisz wieści?

— Zanim przyprowadziłem was tutaj, spotkałem dwanaście bladych twarzy, które chciały was napaść i uśmiercić. Teraz widziałem trzy razy więcej białych, planują zamach na hacjendę.

— Czy ich podsłuchałeś, senior?

— Tak.

— Kiedy zamierzają napaść?

— Jutrzejszej nocy. Widziałem ich w Wąwozie Tygrysa.

— Czy to daleko stąd ?

— Według obliczenia białych twarzy trzeba godzinę jechać konno albo dwie godziny iść pieszo.

— Co robią teraz w wąwozie?

— Jedzą, piją i śpią.

— Czy w wąwozie jest las?

— Owszem, jest, wielki i gęsty. W lesie wytryska źródło, przy nim rozłożyli obóz.

— Czy wystawili strażę?

— Widziałem dwóch wartowników, jednego u wejścia do wąwozu, drugiego u wyjścia.

— Jaką broń mają blade twarzy?

— Strzelby, sztylety i rewolwery.

— Czy Bawole Czoło zaprowadzi mnie do nich? Pytanie to wprawiło Indianina w zdumienie.

— Po co, senior?

— Chcę obejrzeć sobie te blade twarzy.

— Przyjrzałem się im dokładnie. Kto chce je widzieć, ten musi pełzać po ziemi i mchu, przeciskać się przez krzaki, a do tego nie nadaje się pański piękny strój meksykański — Bawole Czoło uśmiechał się niemal ironicznie. — Zresztą, kto idzie, by podsłuchiwać wrogów, ten naraża się na to, że go zabiją.

— Czy senior się boi tam mnie zaprowadzić? — zapytał Sternau.

Miksteka spojrział na niego z pogardą.

— Bawole Czoło nie zna trwogi. Zaprowadzi, ale nie pomoże, jeżeli napadną na seniora blade twarzy w liczbie trzy razy po dwanaście.

— Więc czekaj, senior, tu na mnie.

Po tych słowach Sternau odszedł, by przysposobić się do drogi.

— Ten człowiek zginie — oświadczył Indianin z głębokim przekonaniem.

— Będiesz go ochraniał — z powagą stwierdził Arbellez.

— Ma wielkie usta, ale małą rękę, mówi dużo, ale nie dokona niczego — powiedział Bawole Czoło, po czym podszedł do okna i zaczął patrzeć przez nie.

Sternau wrócił po niedługim czasie.

— Jestem gotowy — oznajmił.

Miksteka spojrział na niego. Zmienił się na twarzy, nie umiając ukryć zdumienia. Sternau bowiem wyglądał wspaniale. Był ubrany w skórzane spodnie, w grubą koszulę myśliwską i wysokie buty, na głowie miał kapelusz o szerokim rondzie. Ubranie to kupił w Meksyku i przywiózł z sobą do hacjendy. Przez ramię przewiesił dubeltówkę. Zza pasa wystawały mu dwa rewolwery, ostry nóż i błyszczący tomahawk. Miksteka podszedł do niego i wyrzekł jedno tylko słowo: — Chodźmy.

— Czy do Wąwozu Tygrysa chce pan pojechać konno? — spytał Sternau, widząc ostrogi u butów Bawolego Czoła.

— Tak.

— Myślę, że lepiej pójść tam pieszo. Człowiekowi łatwiej się ukryć niż koniowi, koń może zdradzić swego pana.

— Senior doktor ma rację — powiedział Miksteka obojętnym tonem, ale w oczach jego zamigotały iskierki radości. Popędził konia na pastwisko i szybkim krokiem ruszył przed siebie, nie oglądając się na Sternaua. Raz tylko, gdy natrafili na piaszczysty grunt, zatrzymał się i obejrzał do tyłu. Zobaczył ślady stóp tylko jednego człowieka, Sternau bowiem szedł dokładnie po jego śladach.

— Uff! — mruknął z aprobatą, kiwając głową.

Droga prowadziła z początku przez piaszczyste pastwiska, później przez wzgórza porośnięte niskimi drzewami, wreszcie weszli w las o drzewach tak olbrzymich, że za każdym z nich mógł się ukryć człowiek. Szli już około dwóch godzin. Indianin z każdą minutą stawał się coraz ostrożniejszy. Sternau przypuszczał, że są już niedaleko wąwozu. I rzeczywiście. W pewnym momencie Miksteka przystanął i powiedział:

— Obóz w pobliżu. Nawet szelest mogą usłyszeć.

Sternau w milczeniu postępował za swym przewodnikiem. Nagle Bawole Czoło położył się na brzuchu wskazując Sternauowi, by zrobił to samo. Czołgali się powoli w zupełnej ciszy, aż usłyszeli czyjeś głosy. Byli na brzegu głębokiego wąwozu o ścianach tak stromych, że całkowicie niedostępnych. Wąwóz miał około ośmiuset kroków szerokości, a blisko trzysta długości. Na dnie płynął strumyk, a koło niego leżało w trawie dziesięciu uzbrojonych ludzi. U wejścia do wąwozu i u wylotu stały warty. Sternau obejrzawszy to wszystko, szepnął:

— Widział senior trzy razy po dwunastu wojowników?

— Tak.

— Ale tu jest tylko dziesięciu.

— Poszli zapewne na zwiady.

— Albo na rabunek.

Sternau nadstawił ucha. Rozmawiali tak głośno, że słyhać było każde słowo. Widać, czuli się tutaj zupełnie bezpieczni.

— A ile mieliśmy otrzymać za schwytanie ich? — mówił jeden. — Dziesięć pesos od głowy? To dużo. Niewarci więcej ci dwaj Niemcy i Hiszpan.

— Pojechali inną drogą. Niech ich diabli porwą! — zaklął drugi.

— Czego klniesz? — ofuknął go sąsiad. — Tym lepiej, że się wymknęli. Teraz jako łup otrzymamy całą hacjendę, oczywiście, jeżeli wybijemy wszystkich, zwłaszcza zaś jednego Niemca i Hiszpana.

— Jak senior nazywał tych ludzi?

— Niemiec to Sternau, Hiszpan — de Lautreville.

— Ale czy wystarczy nas do zdobycia hacjendy? Ten Arbellez ma podobno około pięćdziesięciu vaquerów.

— Ośle, zaskoczmy ich przecież.

Sternauowi to wystarczyło. Już wiedział, że ma do czynienia z bandą zbójów i morderców. Chwycił strzelbę i zaczął ostrożnie zdejmować z ramienia.

— Co pan zamyśla? — spytał Indianin.

— Chcę zabić tych ludzi.

— Tylu naraz?

— Tak.

Z twarzy Miksteki łatwo było odczytać, że uważa swego towarzysza za szaleńca. Chciał się

cofnąć, ale Sternau rozkazał:

— Zostań, przecież się chyba nie boisz. Jestem Matava-se, Władca Skał. Wszystkich morderców mamy w ręku.

Usłyszawszy to imię, Indianin złożył doktorowi głęboki ukłon.

— Będiesz, Bawole Czoło, pilnował wyjścia z wąwozu. Żaden z nich nie może uciec.

Po tych słowach zamierzył się z dubeltówki, kierując w dół lufę. Po chwili jednak zdecydował się na coś innego.

— Zobaczysz, jak Władca Skał pokona wrogów! — wstał, by mogli go ujrzeć ci z dołu, i wydał głośny okrzyk.

Echo odpowiedziało mu donośnie, a jednocześnie zabrzmiał huk wystrzału. Bandyty skoczyli na równe nogi i rzucili się ku strzelbom, które leżały w nieładzie niedaleko biwaku. Sternau i Bawole Czoło przypadli do ziemi i posyłali strzał za strzałem w kierunku zdezorientowanych bandytów. Pięciu już padło, pozostali daremnie strzelali w górę. Chcąc ratować życie, rzucili się do ucieczki. Co który zbliżył się jednak ku wylotowi wąwozu, kula kładła go, trupem. Wkrótce dwóch tylko pozostało przy życiu. Jednego powalił Bawole Czoło, ostatniego chciał Sternau oszczędzić.

— Połóż się i nie ruszaj! — krzyknął do bandyty. Ten natychmiast wykonał rozkaz.

— Zejdź do niego, ja zostanę tutaj i będę z góry obserwował — zwrócił się Sternau do wodza Miksteków.

Bawole Czoło pobiegł wzdłuż krawędzi wąwozu, aż dotarł do wylotu, a stamtąd do miejsca, w którym bandyta leżał nieruchomo na ziemi. Nie było obawy, że teraz ucieknie. Sternau pośpieszył więc za Bawolim Czołem. Podeszedłszy do leżącego powiedział:

— Wstań!

Człowiek podniósł się, drżąc na całym ciele.

— Ilu was było?

— Trzydziestu sześciu.

— Gdzie reszta? Zwlekał z odpowiedzią.

— Mów, milczenie przypłacisz życiem.

— Są w hecjendzie Vandaqua.

— Co tam robią?

— Poszli do seniora.

— Kim jest ten senior?

— To człowiek, który kazał nam napaść na hacjendę del Erina.

— Czy nie wymienił swego nazwiska?

— Nie.

— Ale ja je znam. Czy macie konie?

— Pasą się niedaleko, na przełęczy.

— Jak daleko stąd do hacjendy Vandaqua?

— Trzy godziny drogi.

— Kiedy wyruszyli?

— Przed godziną.

— A kiedy zapowiedzieli swój powrót?

— Mają wrócić, gdy zapadnie wieczór.

— Dobrze, zaprowadź nas do koni.

Nabiwszy strzelby poszli za bandytą. Wybrali trzy najlepsze wierzchowce i przyprowadzili do wąwozu. Zawinawszy w koce broń, jaką znaleźli, załadowali na konie. Do jednego przywiązali

jeńca, po czym ruszyli do hacjendy. Drogę przez las odbyli stępa, przez góry kłusem, galopem przez równiny.

Mieszkańcy hacjendy zdumieli się na ich widok. Sternau udał się do chorego, Miksteka zaś opowiadał domownikom, co zaszło.

— Ten lekarz słynie na periach — mówił. — To Matava-se, Władca Skał.

Zaledwie Bawole Czoło skończył opowiadanie, zjawił się Sternau. Chorego zastał pogrążonego we śnie. Emma czuwała przy nim, skrupulatnie spełniając wszystkie polecenia lekarza.

Arbellez zwołał mieszkańców hacjendy na dziedziniec. Podszedł do Sternaua i wyciągnął doń rękę.

— Dziękuję panu — powiedział. — Obronił nas pan przed bandytami.

Sternau zapytał:

— Słyszałem, że hacjenda Vandaqua jest oddalona stąd o trzy godziny drogi. Czy rzeczywiście można się do niej dostać w tym czasie?

— Tak.

— W jakich stosunkach jest pan z właścicielem tamtej hacjendy?

— To mój zacięty wróg.

— Tak też myślałem. Jest tam teraz Pablo Cortejo. To on zwerbował, przeciw panu, senior Arbellez, tę bandę morderców. Mariano, pan i ja pojedziemy do Vandaquy, weźmiemy ze sobą dwudziestu ludzi. Bawole Czoło natomiast wróci z dziesięcioma do Wąwozu Tygrysa, aby sprowadzić konie i łupy. Reszta pozostanie tutaj pod opieką mego przyjaciela Ungera, by ewentualnie bronić hacjendy. Trzeba być w ostrym pogotowiu, nie wiadomo, co się może zdarzyć. Zgadza się, państwo?

Wszyscy chętnie przyjęli wyznaczone im role; niebawem oba oddziały, każdy w innym kierunku, wyruszyły z hacjendy. Oddział Bawolego Czoła miał proste zadanie. Dojechawszy do wąwozu, załadował zdobycz na konie i zawrócił. Inaczej rzecz się miała z oddziałem zdążającym do Vandaquy. Musiał posuwać się bardzo ostrożnie. Niedaleko hacjendy spotkali jakiegoś cibolera. Sternau podjechał do niego i zapytał:

— Idziesz z hacjendy Vandaqua?

— Tak, panie.

— Czy właściciel w domu?

— Siedzi przy stole i gra w lamonte o srebrne pesos.

— Z kim?

— Z jakimś obcym panem ze stolicy. Zapomniałem jego nazwiska.

— Cortejo?

— Tak jest.

— Czy są jeszcze w hacjendzie jacyś obcy ludzie?

— Około dwudziestu. Przybyli niedawno. Rozłożyli się u vaquerów, grają, ale nie o srebrne pesos.

Jak pochwycić Corteja? O napadzie na hacjendę mowy być nie mogło. Sternau i Mariano zdecydowali, że należy się udać do domu hacjendera i tam dopiero powziąć decyzję. Po kwadransie ujrzeli folwark, a jeszcze wcześniej dostrzegli na równinie parę ruchomych punktów.

Gdy zatrzymali się przed domem, właściciel wyszedł ich powitać.

— Ach, senior Arbellez — rzekł z fałszywym uśmiechem. — Czemu mam zawdzięczać ten niezwykły zaszczyt?

Sternau zbliżył się do niego na swym koniu i odpowiedział zamiast Arbelleza:

— Wybaczcie, mój panie. Jestem tu obcy, szukałem w hacjendzie del Erina seniora Corteja. Powiedziano mi, że jest u pana. Czy mogę z nim mówić?

Wygląd Sternaua dał widać hacjenderowi do myślenia, bo przestał się uśmiechać.

— Przykro mi bardzo, mój panie — powiedział — ale Cortejo odjechał przed chwilą.

— Dokąd?

— Nie wiem.

Sternau pokiwał głową. Rzecz oczywista — ten człowiek nie zdradzi Corteja. Należało tylko się przekonać, czy mówił prawdę. Dlatego też zapytał:

— Czy pozwoli nam pan odpocząć w swoim domu?

— Chętnie — brzmiała odpowiedź. A więc nie kłamał!

— I jeszcze jedno: Co to za ludzie, których niedawno widzieliśmy na prerii jadących konno na zachód?

— Kto to może wiedzieć — odparł lakonicznie hacjendera.

Tym razem kłamie jak z nut — pomyślał Sternau.

— Bądźcie zdrowi! — zawołał. — Wkrótce się dowiemy, kim są ci ludzie.

Ruszył z kopyta, a za nim cały oddział. Jechali w tym samym kierunku, w którym udali się nieznani jeźdźcy. Droga prowadziła do Wąwozu Tygrysa. Dotarłszy do lasu, musieli zwolnić tempo. Konie z trudem przedzierały się przez gąszcz. Wreszcie znaleźli się przy wejściu do wąwozu. Na polecenie Sternaua wszyscy zatrzymali się, on zaś począł badać tropy. Odczytał z nich, że byli tutaj vaquerzy. Ponadto znalazł ślady wiodące z wąwozu w kierunku zachodnim; pozostawił je z pewnością Cortejo ze swymi ludźmi.

Pojechali tym tropem. Prowadził przez gęsty las, wciąż na zachód, potem skręcił na północ. Wreszcie wydostali się z lasu na równinę całkowicie pozbawioną drzew.

Aż do wieczora badali ślady. W końcu upewnili się, że Cortejo i jego ludzie podążyli w kierunku miasteczka San Rosa.

— Możemy zawrócić — powiedział Sternau. — Przynajmniej na pewien czas dadzą nam spokój. Otrzymali nauczkę, której nie zapomną.

— Doniosę o nich władzom — rzekł Arbellez.

— Co to da?

— Nic. Nie ma u nas sprawiedliwości. Zwycięża ten, kto silniejszy, choćby był ostatnim nikczemnikiem, a kto chce sprawiedliwości, musi ją sobie sam wymierzyć. Ma pan rację. Możemy wracać. Napad został udaremniony, nieprędko zechcą go powtórzyć.

Noc już była głęboka, gdy dotarli do hacjendy del Erina.

JUAREZ

Cortejo zatrzymał się istotnie w hacjendzie Vandaqua. By osiągnąć swój cel, wszedł w konszachty z przeciągającą przez kraj bandą zbójczą, którą przypadkiem spotkał po drodze. Polecił jej zamordować Sternaua oraz jego towarzyszy, jadących do hacjendy del Erina. To się jednak nie udało, gdyż, jak wiadomo, Bawole Czoło pokrzyżował zamiary opryszków. Postanowiono tedy ukryć się w Wąwozie Tygrysa, znanym kilku zbójcom, i stamtąd napaść na hacjendę. W wąwozie podслуchał ich Bawole Czoło i ponownie uniemożliwił wykonanie planów.

Cortejo uważał, że jest zbyt wielkim panem, by przebywać w towarzystwie zbójczej szajki, dlatego pojechał do sąsiedniej hacjendy. Wiedział, że jej właściciel to człowiek nieprzyjazny Pedrowi Arbellezowi. Niedługo po, przyjeździe zawiadomiono go, że z wąwozu słychać było ostrą strzelaninę. Pośpieszył więc, by się dowiedzieć, co się właściwie stało. Kiedy dotarł do wąwozu, vaquerzy, prowadzeni przez Bawole Czoło, byli już w drodze powrotnej do hacjendy. Znalazł więc tylko zwłoki. Przerażony, zeskoczył z konia i przeszukiwał wąwóz.

— To ci z hacjendy del Erina — rzekł do towarzyszy. — Dowiedzieli się zapewne o naszych zamiarach i napadli na moich ludzi. Chodźmy czym prędzej do koni!

Gdy przybyli na miejsce, gdzie przedtem pały się zwierzęta, nie spotkali ani jednego.

— Uprowadzone, wszystkie uprowadzone! — zawołał Cortejo. — Ci ludzie nas przejrzel! Wrócą tu albo przygotowali zasadzkę! Musimy uciekać i to bez zwłoki!

— Nie zemściwszy się nawet? — zapytał jeden z bandytów.

— Zemścimy się, ale dopiero wtedy, gdy będziemy mieli pewność, że zemsta się uda.

— Dokąd teraz pojedziemy?

— Tam, gdzie będziemy bezpieczni: do najbliższego miasta.

— Do San Rosy?

— Tak. Ale okrężną drogą, aby tamci nie mogli nas ścigać.

— Dobrze. Ale musi nas senior zapewnić, że będziemy mogli się zemścić.

Cortejo przyrzekł, chociaż był przekonany, że w najbliższym czasie nic się nie da przedsięwziąć; mieszkańcy z Eriny nie dadzą się zaskoczyć.

Wyruszyli drogą ku zachodowi, a przebywszy las skierowali się na południe. Zajęło to sporo czasu, tak że dopiero nocą stanęli w San Rosie. Konie czując bitą ziemię pod kopytami, szły rażniej. Zamigotało kilka świateł. Po chwili z domu, obok którego przejeżdżali, głos jakiś odezwał się ostro:

— Kto tam?

— Co to znaczy?

— Odpowiadać, nie pytać.

— Kim jesteś?

— Caramba, nie widzisz, że jestem szyldwachem? Chcę wiedzieć, kim jesteście.

— Szyldwach? Wolne żarty — roześmiał się Cortejo. — Po co by tutaj stawiano szyldwacha?

— Przekonacie się, czy to żarty. A więc kim jesteście?

— Jestem swój — odparł Cortejo. — Puść nas.

Szyldwach wyciągnął gwizdek i zagwizdał.

— Co robisz?

— Słyszysz przecież: daję znak.

— Co za bzdury!

Cortejo chciał odepchnąć Meksykanina, ten jednak skierował ku niemu strzelbę i zawołał:

— Stój! Zatrzymaj się albo ci kulkę w łeb wpakuję! Musicie czekać, aż przyjdą inni. W San

Rosie stan obłączenia.

— Od kiedy?

— Od dwóch godzin.

— Kto go ogłosił?

— Senior Juarez.

Nazwisko zrobiło swoje. Eskorta Corteja, która przed chwilą jeszcze miała zamiar zbagatelizować szyldwacha i pojechać dalej mimo jego zakazów, teraz cofnęła się. Cortejo zaś krzyknął:

— Juarez? Juarez jest tutaj, w San Rosie?!

— Słyszycie przecież.

— W takim razie to co innego. A oto i pańscy towarzysze.

Rozległ się gwizdek, taki sam jak szyldwacha, i po chwili zbliżyło się kilku ludzi uzbrojonych od stóp do głów. Jeden z nich, widać przywódca, zapytał:

— O co chodzi, Hermillo?

— Ci ludzie chcą do miasta.

— Kto to taki?

— Nie wymienili nazwisk.

— Mnie podadzą je z pewnością.

— Nazywam się Cortejo, stale mieszkam w stolicy. Teraz jestem w drodze powrotnej do niej i chciałem przenocować w San Rosie.

— To pańscy ludzie?

— Tak.

— Co pan robi?

— Zarządzam posiadłościami hrabiego Rodrigandy.

— Ach, to jakiś dostojny wyzyskiwacz i pasożyt. Chodźcie za mną!

— Wolę jechać dalej. — Cortejo pragnął ulotnić się czym prędzej.

— To niemożliwe. Jazda naprzód!

Nie trzeba było wprawdzie wielkiej odwagi, by uciec na koniu wśród ciemnej nocy, ale Cortejo wolał spełnić rozkaz. Komendant warty poprowadził ich do centrum miasteczka. Wśród niewielkiej gromadki miejscowej ludności panowało tej nocy duże ożywienie. Tu i ówdzie widać było poprzywiązane do słupów lub płotów konie. Ich właściciele kwaterowali w prywatnych mieszkaniach.

Poświęćmy teraz kilka słów ówczesnej historii Meksyku.

Benito Juarez to ten sam człowiek, który później odegrał niemałą rolę w pewnym dramacie cesarza Meksyku, Maksymiliana. Chociaż nie można nazwać go geniuszem, był indywidualnością i wywarł ogromny wpływ na losy narodu meksykańskiego. Miał zdrowy rozsądek, żelazną siłę woli i obok prawości, szlachetności, zdecydowania, skromności i umiłowania ojczyzny cały szereg innych przymiotów, które mu pozwoliły wyświadczyć narodowi wiele dobrego. Stało się tak również dlatego, że liczył się z realiami kraju, że doskonale znał warunki życia swych rodaków.

Był Indianinem. Urodził się 21 marca 1806 roku w miejscowości San Pedro w Sierra de Oaxaca. Od najmłodszych lat musiał nauczyć się znosić nędzę i poniżanie godności ludzkiej. Pokonał wiele przeszkód, aby przystąpić do studiów prawniczych. Ukończył je jednak i został profesorem prawa w kolegium w Oaxaca. Zdołał również sławę jako adwokat. Było to jak na Indianina, jak na pogardzanego czerwonoskórego, bardzo dużo.

W roku 1848 wybrano go gubernatorem stanu Oaxaca i nawet wrogowie jego przyznają, że żaden

gubernator nie rządził lepiej i mniej egoistycznie aniżeli Juarez. Poważanego do tego stopnia, że stara, znana kreolska rodzina Mazo oddała mu za żonę swą córkę, Małgorzatę, mimo że dumni Kreole unikali związków krwi z Indianami.

Jako gubernator zajął się uzdrawianiem sądownictwa, finansów, tępieniem nadużyć urzędniczych; popierał przemysł i rozbudowywał sieć komunikacyjną. Dobrobyt i bezpieczeństwo administrowanej przez niego prowincji przyniosły mu uznanie w całym kraju.

W roku 1853 wypędził go z Meksyku wróg polityczny, prezydent Santa Anna. Juarez wywędrował do Nowego Orleanu. W roku 1855 powrócił do ojczyzny i za prezydentury Alvareza został ministrem sprawiedliwości. Po ustąpieniu Alvareza w grudniu tegoż roku Juarez również podał się do dymisji, został jednak mianowany przez nowego prezydenta, Comonforta, prezesem sądu najwyższego. W roku zaś 1858 po upadku prezydenta obrano go, zgodnie z konstytucją, prezydentem Meksyku. Pogardzany kiedyś Indianin był teraz pierwszym dostojnikiem w kraju. Ale kraj ten odziedziczył po swych poprzednikach w opłakanym stanie: ogólny kryzys gospodarczy, uwikłanie w wojnę z Francją, spór między Hiszpanią a Anglią o wpływy w Meksyku, naderwane stosunki ze Stanami Zjednoczonymi, opór wrogów wewnętrznych i Maksymiliana austriackiego, którego Napoleon III wyniósł do godności cesarza Meksyku.

Zadania Juareza były olbrzymie. Czy wszystkie je spełnił? Czy mógł je spełnić w ciągu krótkiego czasu swych rządów? Juarez rozumiał, że Meksyk nie może przyjąć cesarza z ręki Napoleona. Miał dla Maksymiliana szacunek i litość, ale jako człowiek zasad, bronił swego przekonania, walczył o nie odważnie i wytrwale, nie ulegając blaskowi protegowanego Francji. Zmarł 18 lipca 1872 roku. Jeden ze świątłych historyków naszej doby tak o nim pisze: „Benito Juarez — najwybitniejsza postać historyczna, jaka wyszła z rasy indiańskiej i nie należała do cywilizacji europejskiej”.

W czasie naszego opowiadania Juarez był bardzo popularnym przywódcą swej partii i budził lęk wśród przeciwników. Wiedziano, że to człowiek zacięty i przebiegły, że natura obdarzyła go zimną krwią, stanowczym charakterem i mocną wolą i że dzięki tym cechom jest w stanie opanować polityczny chaos w kraju.

Juarez kwaterował w najpiękniejszym domu miasteczka. Zaprowadzono do niego Corteja i towarzyszy. Przed wejściem pełniła straż czterech konnych z obnażonymi szablami. Zatrzymanych skierowano do wielkiej komnaty, w której właśnie spożywano kolację.

Na honorowym miejscu przy stole siedział Indianin. Miał wysokie czoło, co szczególnie rzucało się w oczy dzięki krótko przystrzyżonym włosom. Ubrany był skromniej od innych. Mimo to od razu można było poznać, że jest tu pierwszą osobą.

— O co chodzi? — zapytał krótko na widok wchodzących.

— Ludzie ci zatrzymani zostali przez wartę — zameldowano.

Juarez zwrócił badawczy, przeszywający wzrok na Corteja.

— Kim senior jest?

— Nazywam się Cortejo, jestem pełnomocnikiem hrabiego Rodrigandy. Mieszkam w stolicy.

Juarez milczał przez chwilę, namyślając się widać nad czymś, po czym zapytał:

— Jest więc pan pełnomocnikiem tego bogatego Hiszpana Rodrigandy, do którego należała hacjenda del Erina?

— Tak.

— I dokąd podążacie?

— Do domu, do Meksyku.

— Skąd?

— Z hacjendy Vandaqua.

— Co tam senior robił?

— Odwiedzałem hacjendera.

— W jakiej sprawie?

— To mój przyjaciel.

Brwi Juareza ściągnęły się groźnie.

— Ach tak! Jest więc senior jego przyjacielem?

— Tak jest.

— W takim razie nie jest moim przyjacielem, człowiek ten bowiem opowiada się za prezydentem.

Cortejo przeraził się na dobre. Ówczesny prezydent Meksyku, Herrera, objeżdżał kraj werbując zwolenników i rozprawiał się bezlitośnie z tymi, którzy nie chcieli mu się poddać.

— Nie pytałem nigdy o jego zapatrywania polityczne. Chciał się w ten sposób ratować. Nie poprawił jednak swego położenia. Juarez przeszył go ostrym spojrzeniem swych ciemnych oczu i uśmiechnął się szeroko, ukazując szereg białych zębów.

— Brednie! — zawołał. — Kiedy się zejną dwaj przyjaciele, muszą mówić o polityce, takie już nasze zwyczaje, szczególnie teraz. Zresztą mam wrażenie, że i senior jest zwolennikiem prezydenta.

Brzmiało to bardzo groźnie. Cortejo odparł z pośpiechem:

— To jakaś pomyłka! Nigdy nie zajmowałem się polityką.

— W takim razie nie jest pan ani tym, ani owym. Tym gorzej. Zanim się nie przekonam, będę seniora uważał za szpiega:

— Nie jestem szpiegiem!

— To się okaże. Mam pewne podejrzenia. Z Meksyku do hacjendy Vandaqua nie podróżuje się jedynie dla przyjaźni.

— Ależ nie wiedziałem wcale, że senior jest w San Rosie...

— A chciał się pan o tym przekonać? Przecież San Rosa nie leży na drodze z hacjendy do Meksyku. Po co więc to okrażenie?

Cortejo nie mógł ukryć zakłopotania.

— Milczy pan — mówił dalej Juarez. — Każę was wszystkich zamknąć, a jutro dowiemy się prawdy.

— Jestem niewinny — zapewniał Cortejo.

— Zamknięcie nie zaszkodzi. No, może pan odejść! W tym momencie podniósł się z za stołu jeden z biesiadników.

— Pozwoli pan, senior Juarez. Czy uważa mnie pan za swego szczerego przyjaciela?

Pytanie to postawił wysoki, niezwykle krzepko zbudowany Meksykanin. Postura jego rzucała się w oczy tym bardziej, że Meksykanie zazwyczaj bywają niskiego wzrostu.

— I o to pyta senior Verdoja? Czy mianowałbym pana rotmistrzem warty przybocznej, gdyby było inaczej? Co seniora skłoniło do tego pytania?

— Proszę, senior, abyś uwierzył słowom Corteja — odparł olbrzym.

Cortejo tak był zaskoczony całym zajściem, że nie miał czasu przyjrzeć się biesiadnikom. Usłyszawszy teraz głęboki głos, poznał swego obrońcę. Verdoja nie był co prawda milionerem, ale dość zamożnym właścicielem ziemskim. Posiadał na północy Meksyku wielkie pastwiska, sąsiadujące z włościami hrabiego Rodrigandy. W ziemi hrabiego znajdowały się pokłady rtęci. Verdoja chciał swego czasu odkupić te tereny, ale hrabia Fernando nie kwapił się ze sprzedażą.

— Zna senior tego człowieka? — zapytał Juarez.

— Tak.

— I nie uważa go za naszego wroga?

— Przeciwnie, to nasz zwolennik. Ręczę za niego. Juarez raz jeszcze obrzucił Corteja uważnym spojrzeniem.

— Jeżeli senior ręczy za niego — rzekł — niechaj idzie wolno. Ale będzie pan odpowiadać, gdyby przytrafiło się coś złego.

— Dobrze, senior.

Juarez zwrócił się do Corteja:

— Kim są ci, którzy panu towarzyszą?

— To moja eskorta. Uczciwi ludzie, nikomu krzywdy nie zrobią.

— Niechaj odejdą i poszukają sobie noclegu. Senior zaś zje z nami wieczerzę. Oddaję pana pod opiekę seniora Verdoja. Jest za was odpowiedzialny. Mam nadzieję, iż nie narazicie go na przykrości.

Tak więc groźna początkowo sytuacja przybrała dla Corteja szczęśliwy obrót. Ustąpiono mu miejsca przy stole. Usiadł obok Verdoja, aby zjeść posiłek z przyszłym prezydentem Meksyku.

Jedzenie było proste, ale za to bardzo obfite. Trunków również sobie nie żałowano. Pod koniec wieczerzy wszystkim kurzyło się ze łbów. Tylko Juarez jadł i pił indiańskim zwyczajem umiarkowanie. Gdy podniósł się od stołu i wyszedł, reszta poszła w jego ślady. Verdoja i Cortejo razem opuścili dom. Teraz dopiero mogli porozmawiać spokojnie.

— Przenocuje pan u mnie — rzekł Verdoja. — Mam nadzieję, że będzie pan zadowolony z kwatery.

— Dziękuję, bardzo dziękuję. Ale przede wszystkim jestem panu ogromnie zobowiązany za wstawienie się za mną. Gdyby nie pan, spałbym dzisiejszej nocy niezbyt wygodnie.

— To wielce prawdopodobne. Przeraziłem się, kiedy usłyszałem, że odwiedził pan Vandaqueę. Przecież na tę hacjendę właśnie szykujemy wyprawę.

— Nie może być! — Cortejo zmartwiał ze strachu. Znając Indian, zrozumiał, że życie jego wisiało na włosku.

— To prawda — powtórzył Verdoja. — Nie powinienem był wprawdzie wygadać się przed panem, bo to tajemnica, ale stało się. Co, u diabła, robił pan w tej hacjendzie? O ile mi wiadomo, jej właściciel nigdy nie był panu zbyt przychylny.

— Zmieniły się czasy. Nie jest już moim sąsiadem.

— Dlaczego?

— Hacjenda del Erina nie należy do nas. Pedro Arbellez ją odziedziczył.

— Caramba! Odziedziczył ją po hrabi Fernandzie? Niechże go piorun spali! Mnie hrabia nie chciał sprzedać skrawka ziemi, o który się dobijałem, a dwadzieścia mil kwadratowych gruntu darował jakiemuś dzierżawcy! Jeszcze o tym pomówimy. Ale teraz wejdźmy do środka, mieszkam tutaj.

Stanęli przed jakimś domem. Na odgłos kroków ktoś otworzył im drzwi. Właściciele mieszkania nie pokazywali się jednak. Pokój był ładny i wygodny, łóżko przygotowane, na stole zastawa.

— Myślę, że jeść nie będziemy — powiedział Verdoja. — W tym łóżku śpię ja, pan będzie musiał się zadowolić hamakiem, który zaraz zawiesimy.

— Oczywiście. Proszę się nie kłopotać o mnie.

Umocowali hamak. Cortejo usiadł w nim, a rotmistrz na łóżku. Poczęstowawszy gościa papierosem, rzekł:

— Słyszałem, że Alfonso, spadkobierca hrabiego Fernanda, przebywa w Hiszpanii. Czy to prawda?

— Tak, bawi tam od roku.

— Więc pan administruje jego tutejszymi posiadłościami? Winszuję, senior Cortejo — uśmiechnął się obleśnie. — Niejeden smaczny kąsek teraz się panu dostanie. Czy i mnie coś niecoś skapnie, drogi Cortejo?

— Myśli senior z pewnością o pokładach rtęci. Hm, można by o tym pomówić. Niech mi pan jednak powie wpieryw, czego chce ten Juarez od hacjendera z Van-daquy?

— Chce mu zapłacić za zdradę.

— W jaki sposób?

— Nie wolno mi wyjawiać. Jedno jest pewne, że jutro o tej porze hacjendero już żyć nie będzie. Juarez nie zna litości ani łaski. Przy okazji odwiedzi hacjendę del Erina.

— A po co?

— Część naszych ludzi ma się tam zakwaterować.

— I pan także?

— Tak jest.

Cortejo wpadł w zadumę. Rotmistrz zapytał po chwili:

— O czym senior myśli?

— O pokładach rtęci — uśmiechnął się Cortejo.

— Czy chciałby je pan sprzedać?

— Chcę naprzód wiedzieć, ile mi pan zapłaci.

— Niewiele. Mało tam pastwisk, a tych najbardziej potrzebuję.

— Niech pan nie przystępuje do rzeczy jak handlarz, który umyślnie gani to, co chce kupić. Znamy się przecież od dawna i możemy mówić otwarcie. A więc...

— Mało tam, jak mówiłem, pastwisk, a sporo stromych, nagich wzgórz i głębokich wąwozów o skąpej roślinności. Ponieważ jednak ta ziemia leży w moim sąsiedztwie, mógłbym ofiarować dziesięć tysięcy pesos.

— Przydałoby się seniorowi trochę więcej rozumu.

— Dlaczego pan tak mówi? — zdziwił się Verdoja.

— Przecież hrabia Rodriganda kupił tę posiadłość za okrągłe sto tysięcy pesos. A dziś warta przynajmniej cztery razy tyle.

— O to można by się jeszcze spierać.

— Jeżeli moje przypuszczenia są słuszne i oprócz rtęci znajdują się tam szlachetne kruszce, milion pesos byłoby sumą zbyt małą, gdyż sama renta gruntowa wyniosłaby wtedy setki tysięcy.

— Fantazjuje pan.

— Niezupełnie. Choć oczywiście dotyczy to przyszłości, nie zaś terażniejszości. Przewiduję jednak, że ta część kraju zaludni się szybko...

— Za proroctwa się nie płaci.

— Oczywiście. Ale powiedziałem panu o tym wszystkim, mając pański interes na względzie.

— Odkąd to senior tak altruistycznie usposobiony?

— Od dzisiaj. Wie pan o tym, że umiem liczyć. Wyświadczył mi senior wielką przysługę. Bez pańskiego wstawiennictwa może by mnie rozstrzelano, dlatego też chcę się panu odwdziżyć.

Rotmistrz uśmiechnął się pogardliwie:

— Chyba nie chce mi pan darować tych pokładów?

— Owszem, chcę. Verdoja podskoczył na łóżku.

— Co takiego?! — zawołał.

— To, co senior słyszał. Chcę darować panu ten kawałek ziemi z rtęcią.

— To przecież niemożliwe!

— A jednak...

— Słuchaj, Cortejo. Powiedz mi, co byś uczynił, gdybym chciał cię wziąć za słowo?

— Dotrzymałbym i kwita.

— Teraz ja powtarzam: zdałoby się panu trochę więcej rozumu.

— Wiem dobrze, co mówię.

Verdoja tracił cierpliwość.

— Bądź senior poważny, daj pokój głupim żartom. Takiego szmatu ziemi nie darowuje przecież człowiek o zdrowych zmysłach.

— A jeżeli darowuje, to nie bez ubocznych zamiarów...

— Aha, teraz wyłazi szydło z worka. Jest więc coś, co przy okazji zamierza senior załatwić.

— Chodzi o drobną przysługę.

— Jestem ogromnie ciekaw, za co mam otrzymać tak sowite wynagrodzenie.

Cortejo wahał się chwilę. Wreszcie powiedział:

— Możemy chyba ufać sobie wzajemnie. Odznacza się pan wielką siłą fizyczną, prawda?

— Bez wątplenia. Ale co to ma do rzeczy?

— Jest pan dobrym strzelcem i fechtmistrem...

— Naturalnie. Niezgorzej też władam sztyletem.

— Przypuszczam również, że pańska forma ciągle jest znakomita.

— Oczywiście — uśmiechnął się rotmistrz. — Niejeden, kto szukał ze mną zaczepki, dziś ziemię gryzie.

— No, w takim razie pana mi właśnie potrzeba. Chodzi mianowicie o pozbycie się paru niewygodnych osób.

— Aha! — zawołał rotmistrz. — Więc o takiej przysłudze myśli senior Cortejo? Chce zrobić ze mnie skrytobójcę?

— Nie. Chcę tylko zwrócić pańską uwagę na kilku ludzi, którzy mogliby na przykład pokłócić się z panem...

— A wtedy ja — wszedł mu w słowo Verdoja — gdyby mnie zaczepili, wpakowałbym im kulkę lub sztylet...

— I zostałby pan właścicielem pokładów rtęci.

— Mówi pan serio? Przecież ta ziemia nie należy do pana, tylko do hrabiego Alfonsa Rodrigandy.

— Hrabia zgodzi się z pewnością na darowiznę.

— To znaczy, że podpisze akt darowizny?

— Właśnie to chciałem powiedzieć, senior Verdoja.

— W takim razie moim marzeniem jest spotkanie tych ludzi.

— Nic łatwiejszego. Zobaczy pan ich już jutro.

— Gdzie?

— W hacjendzie del Erina.

— Do diabła! Chyba nie ma senior na myśli starego Arbelleza?

— Nie, myślę o jego gościach. Podejmuje paru przybyszów, których z przyjemnością posłałbym do nieba albo raczej do piekła.

— Kto to?

— Przede wszystkim pewien lekarz. Nazywa się Sternau.

— Zapamiętam to nazwisko.

— Następnie pewien marynarz, Unger, i Hiszpan, Mariano albo też Alfred de Lautreville.

— A więc ci trzej: Sternau, Unger i Mariano vel Alfred de Lautreville. Jeżeli zadrą ze mną i jeżeli ich pokonam, pokłady są moje, tak?

— Tak.

— Kto za to ręczy?

— Ja słowem honoru.

— Hm, to poręka niezbyt pewna. Co właściwie ma pan przeciw tym ludziom? Czy pana obrazili?

— Tak.

— Nie mydlj mi oczu, senior Cortejo. Aby pomścić obrazę, nie darowuje się takich posiadłości.

W tym kryje się coś innego.

— Co to pana obchodzi?

— I rzeczywiście. Ale dlaczego nie sprzątnie ich pan sam?

— Jestem w złych stosunkach z Pedrem Arbellezem, nie mogę się pokazać w hacjendzie del Erina.

— Pilnuj więc ich, gdy opuszczą hacjendę.

— Zajęcia moje nie pozwalają mi na to. Zresztą, wyznam panu coś jeszcze. Zwerbowałem oddział tęgich chłopów...

— Przeciwno trzem ludziom? — roześmiał się rotmistrz.

— Nie śmiej się, senior. Diabły, nie ludzie, ta trójka.

— I nie daliście sobie z nimi rady?

— Nie. Te czorty część moich powybijali, tylko szczęśliwym trafem umknąłem z resztą, którą pan widział.

— Caramba! Chciałbym poznać tę trójkę. A więc ludzie, którzy z panem przybyli niezbyt czyste mają sumienia?

— Niezbyt — potwierdził Cortejo.

— To może i dobrze... Czy nie chciałby pan mi ich odstąpić?

— Spadł mi kamień z serca. Nie wiedziałem, co z nimi robić. Tak pragną zemsty, że gotowi ze skóry wyskoczyć. Pozostając ze mną, nie doczekaliby się tej sposobności.

— Jutro przy śniadaniu pomówię z nimi. Wraca senior do Meksyku?

— Tak.

— Zawiadomię pana, gdy się z tym uporam.

— Po otrzymaniu wiadomości prześlę akt darowizny albo akt fikcyjnego kupna do Hiszpanii, aby go podpisał hrabia Alfonso. Jak zamierza się pan zabrać do tych trzech hultajów?

— Tego jeszcze nie wiem. No, na dzisiaj dosyć. Śpij, senior, spokojnie. Ja muszę jeszcze obejść warty. Juarez jest bardzo wymagający i surowy. Gdy zauważy jakieś zaniedbanie, nawet oficer nie może być pewny swego życia.

Cortejo z zadowoleniem wyciągnął się w hamaku. Mógł wracać do stolicy: oddał sprawę w dobre ręce. Znał Verdoja jako człowieka pozbawionego skrupułów, który dla tych pokładów rtęci gotów zabić nie trzech, ale dziesięciu, a nawet dwudziestu ludzi. Ani myślał dotrzymać mu słowa. Verdoja przecież nie będzie sądownie dochodził zapłaty za zbrodnię.

Podczas gdy Cortejo zasypiał w dobrym nastroju, rotmistrz obchodził posterunki. Zaprzątnięty tym, co mu powiedział notariusz, prawie nie zwracał uwagi na stan i wygląd warty.

— Więc ci ludzie mają umrzeć nie dlatego, że go obrazili — mówił do siebie. — Ale dlaczego? Co jest warte tak wysokiej ceny? Kto płaci milion, temu musi chodzić o sumę o wiele większą. Jeśli hrabia darowuje pokłady rtęci, to chyba wszystkie jego posiadłości są zagrożone. Kim są ci trzej?

Lekarz, marynarz, no i ten Hiszpan, który tak dziwnie się nazywa: Mariano albo Alfred de Lautreville. Coś mi się zdaje, że ten Mariano jest tutaj najważniejszy.

Chodził dalej od warty do warty i wciąż myślał o tym samym. Czy Cortejo dotrzyma słowa? Znam jego diabelski spryt. Czy nie wyprowadzi mnie w pole i nie będzie udawał, że o niczym nie wie, gdy pozabijam wszystkich trzech? Pokłady diabli wezmą, a ja będę się miał z pyszna. Muszę jakoś się zabezpieczyć. Może jutro coś przyjdzie mi do głowy.

Wrócił na kwaterę i położył się do łóżka. Następnego ranka kazał przyprowadzić kompanów Corteja i zaczął ich przepytawać w obecności notariusza.

— Powiedzcie, kim właściwie jesteście?

Ten, który już poprzedniego wieczora zabierał głos w imieniu wszystkich, odpowiedział:

— Czy senior Cortejo nic panu nie mówił? Biedacy jesteśmy, pracujemy, jak się nadarzy, byle zarobić na kawałek chleba.

— Obojętny wam sposób zarobku? Chcecie popracować u mnie?

— Jesteśmy teraz w służbie u seniora Corteja.

— Odstąpił mi was.

— Oho! Czy to prawda, senior Cortejo?

— Tak — odparł tamten.

— Pan nie ma prawa! Jesteśmy ludźmi wolnymi. Przyrzekł senior, że będziemy mogli pomścić naszych towarzyszy.

— Nie mam czasu, rotmistrz mnie zastąpi.

— Kto z was przystanie do mnie — oświadczył Verdoja — tego zabiorę do hacjendy del Erina.

— Pojedziemy razem z żołnierzami?

— Nie. Za nimi. Czy hacjendę otaczają wały?

— Oczywiście, bardzo mocne.

— Zatem dziś o północy niech jeden z was przyjdzie pod wał południowy. Będę tam czekał i dam instrukcje.

— A jak z zapłatą?

— Taka sama, jaką obiecał senior Cortejo.

— Zgoda. Czy już możemy wyruszyć?

— Nie. Juarez nie wydał jeszcze rozkazu. Najemnicy oddalili się. Nie wszyscy byli zadowoleni ze zmiany. Część postanowiła przyłączyć się do wojsk Juareza.

Kiedy Verdoja zameldował się u przywódcy, ten polecił mu sprowadzić Corteja.

— Czy senior wie, kto ocalił pańską głowę? — ponurym głosem powitał notariusza Juarez.

— Wiem. Mogłem ją stracić, chociaż jestem niewinny.

— Milczeć! Senior Verdoja zaręczył za was, to wystarczy. Chcecie wracać do stolicy?

— Tak.

— Tam nie powinni wiedzieć, że byłem w San Rosie, a pan i pańscy ludzie to rozgłosicie. Nie mogę więc was puścić.

— Będziemy milczeć, senior. Juarez machnął ręką i rzekł z pogardą:

— Biały nie milczy nigdy, tylko Indianin potrafi być panem swego języka. Biały może tylko wtedy dotrzymać słowa, gdy przysięgnie.

— Przysięgnę.

— A więc przysięgaj!

Cortejo podniósł rękę i przysięgł, że nikomu nie powie o swoim spotkaniu z Juarezem.

— Teraz może pan odejść — rzekł Juarez. — Zabierz też swoich ludzi i pamiętaj, że jesteś za nich

odpowiedzialny.

W kilka minut potem Cortejo dosiadł konia i opuścił San Rosę. Odprowadzali go najemnicy, aby nie zdradzić, iż weszli w porozumienie z rotmistrzem. Było ich tylko ośmiu, reszta bowiem została na służbie Juareza. Dopiero po pewnym czasie pożegnali Corteja i okrężną drogą zaczęli zmierzać ku hacjendzie del Erina.

Wkrótce po odjeździe Corteja dźwięk trąb obwieścił ludziom Juareza, że czas wyruszać. Zbrojni w lance żołnierze dosiedli swych półdzikich koni. Juarez z oficerami stanął na czele. Na rozkaz dowódcy ułani galopem pognali przez równinę.

Były to złe czasy dla Meksyku. Choć ten już dawno oderwał się od Hiszpanii, brakło mu sił, by uzyskać prawdziwą samodzielność. Prezydenci zmieniali się raz po raz, finanse kulały, na urzędach tuczyli się niegodziwcy, nieudolnie pracowały organy państwowe, brak było dyscypliny, wojsko odmawiało posłuszeństwa, każdy niemal oficer sięgał po szlify wodza, każdy generał po fotel prezydenta. Kto tylko dorwał się do władzy, chciał się jak najszybciej wzbogacić, czując, że czasu ma niewiele. Ten, który go obalał, postępował identycznie. Nie lepsi byli zarządcy poszczególnych prowincji. Nikt z poddanych nie wiedział, kogo słuchać. Stosunkowo najlepiej powodziło się hacjenderom, zamieszkującym odległe zakątki kraju.

Wśród tego chaosu wyplłynął Juarez i osiągnął taką pozycję, że nie będąc jeszcze prezydentem, zawierał nawet traktaty i ugody ze Stanami Zjednoczonymi. Przerzucał się z miejsca na miejsce, dziś był tu, jutro tam. Zjednywał sobie ludzi. Jednych karał, drugich nagradzał, jeśli jego zdaniem na to zasługiwali. Teraz zamierzał ukarać właściciela Vandaquy.

Gdy żołnierze przybyli do hacjendy, jej mieszkańcy przestraszyli się bardzo. Juarez zsiadł z konia i wszedł do domu w otoczeniu kilku oficerów. Hacjendero siedział z rodziną przy śniadaniu.

— Czy mnie znasz? — zapytał surowo Indianin.

— Nie — odparł hacjendero.

— Nazywam się Juarez. Hacjendero zbladł i zawołał:

— Najświętsza Madonno!

— Nie wzywaj Madonny, to trud daremny. Jesteś zwolennikiem prezydenta Herrery?

Hacjendero drżał na całym ciele.

— Nie.

— Kłamiesz! — krzyknął Juarez. — Czy prowadzisz z jego poplecznikami korespondencję?

— Nie.

— Zaraz się przekonam. Szukajcie!

Oficerowie wezwali kilku żołnierzy i rozpoczęli skrupulatną rewizję. Po pewnym czasie jeden z oficerów w milczeniu podał Juarezowi paczkę listów. Juarez wziął je bez słowa i zaczął czytać. Hacjendera zbladł jak ściana. Z trwogą wpatrywał się w Juareza. Jego rodzina z bijącym sercem oczekiwała, co będzie dalej. Wreszcie Juarez skończył czytać. Wstał z krzesła i zwrócił się do hacjendera:

— Otrzymałeś te listy?

— Tak.

— I czytałeś je? I odpowiedziałeś na nie?

— Tak.

— Skłamałeś przedtem. Jesteś stronnikiem prezydenta, członkiem przysiężenia przeciw wolności ludu. Oto zapłata.

Wyciągnął pistolet, wycelował i strzelił. Hacjendero, trafiony w skroń, padł na ziemię. Ktoś z rodziny zabitego krzyknął przeraźliwie. Juarez zmarszczył brwi.

— Nie krzyczcie — powiedział ze stoickim spokojem. — I wy jesteście winni, ale daruję wam życie. Musicie opuścić ten dom. Konfiskuję hacjendę na rzecz państwa. Za godzinę niechaj tu śladu po was nie będzie. Daję wam konie, na które możecie załadować swoje rzeczy. Pieniądzy też wam nie zabiorę. No, precz mi z oczu!

— Czy możemy zabrać zwłoki? — zapytała z płaczem żona hacjendera.

— Dobrze, ale pośpieszcie się.

Wyniesiono trupa. Po godzinie niedawni mieszkańcy folwarku opuścili go, zalewając się łzami. Juarez pozwolił żołnierzom poplądrować i pohulać. Kazał jednak, aby Verdoja pilnował ich, żeby nie przebrali miarki. Zabito parę wołów, po czym rozpoczęła się obfita uczta pod gołym niebem.

Juarez został w jadalni. Gdy Verdoja zameldował się po wykonaniu zadania, wódz rzekł do niego:

— Tak jak ten hacjendera powinien skończyć każdy, kto popełnia grzech przeciw ojczyźnie. Verdoja — obrzucił rotmistrza badawczym spojrzeniem — czy jest mi pan wierny?

— Tak, panie, wiesz chyba o tym — odparł z powagą.

— A więc do rzeczy. Czy zna senior prowincję Chihuahua?

— Urodziłem się tam, na granicy jej ciągną się moje posiadłości.

— Doskonale. Uda się więc pan do stolicy Chihuahua, aby zarządzać prowincją w moim imieniu.

Dam panu szwadron ludzi, drugi pozostawię sobie. Rozstaniemy się jeszcze dzisiaj, ale teraz proszę mi towarzyszyć do hacjendy del Erina.

W chwilę później dosiedli koni i ruszyli wraz z kilku żołnierzami. Przewodnikiem był jeden z vaquerów.

Mieszkańcy hacjendy zauważyli ich z daleka. Na wszelki wypadek zamknęli bramę wjazdową. Juarez sam do niej zastukał.

— Kto tam? — zapytał Arbellez.

— Żołnierze. Otwórzcie!

— Czego chcecie?

— Do diabła, otwieracie czy nie?

Sternau, Unger i Mariano stali obok Arbelleza.

— Czy mam otworzyć? — szepnął don Pedro.

— Niech pan otworzy — odpowiedział Sternau. — Jest ich przecież tylko paru.

Gdy bramę rozwarło i jeźdźcy wjechali na dziedziniec, Juarez obrzucił ostrym spojrzeniem hacjendera i jego przyjaciół.

— Dlaczego nie otworzyliście od razu?! — krzyknął.

— Nie znamy was — odparł Arbellez. — Czy jesteś, panie, jednym z tych, których należy słuchać?

— Nazywam się Juarez. Czy słyszeliście o mnie? Arbellez skłonił się głęboko.

— Oczywiście. Wybacz, senior, że zwlekaliśmy z otwarciem. Wejdźcie, proszę, do naszego domu! Jesteś, panie, zawsze miłym gościem.

To uprzejme powitanie nie rozchmurzyło Juareza. Kiedy rozsiedli się w salonie, dłuższy czas milczał ponury i zły.

— Widzieliście nas jadących? — spytał wreszcie.

— Tak, senior.

— I poznaliście, że jesteśmy żołnierzami?

— Tak jest.

— Mimo to nie otworzyliście. Zasługujecie na karę.

— Och, senior! Prezydent ma również żołnierzy. Ale ich nie przyjąłbym w gościnę. Nie mogłem wiedzieć, że to pan osobiście do mnie przybywa.

Twarz Juareza rozpogodziła się wreszcie.

— A więc jestem przez was naprawdę mile widziany?

— Ma senior żelazną rękę, a takiej potrzeba naszemu biednemu krajowi.

— Tę rękę niejeden już poczuł na sobie. Nawet niedawno. Czy znacie hacjendę Vandaqua?

— Jakże bym miał jej nie znać, sąsiaduje przecież z moją.

— Jakiego czynszu warta, senior Arbellez?

— Przecież to własność prywatna, nie dzierżawa.

— Nie mędrkuj, senior, ale odpowiadaj na pytanie!

— Gdyby była w lepszych rękach aniżeli teraz, można by za nią zapłacić dziesięć tysięcy pesos.

— Możecie więc wziąć ją w dzierżawę za siedem tysięcy.

Arbellez spojrział zdumiony.

— Nie rozumiem pana.

— Mówię przecież wyraźnie. Skonfiskowałem Vandaquę na rzecz państwa i teraz daję ją seniorowi w dzierżawę.

— A właściciel?

— Zginął od mojej kuli, gdyż był zdrajcą. Jego rodzina musiała opuścić hacjendę. Decyduj się prędko, senior!

— Jeżeli tak rzecz wygląda, zgadzam się, ale...

— Nie ma żadnego ale. Przynieście papier, spiszemy, co należy.

Jak wszystko, do czego Juarez przykładął rękę, i ta sprawa załatwiona została w błyskawicznym tempie i wzorowym porządku. Skończywszy pisać, Juarez powiedział:

— Ten oto oficer to rotmistrz Verdoja. Zamieszka tu przez parę dni ze szwadronem żołnierzy. Czy będzie im mógł senior dać utrzymanie?

Arbellez skinął głową twierdząco, choć chętnie by odmówił.

— Przybędą tutaj przed wieczorem. Zajmijcie się nimi, a później przedłoży pan rachunek rotmistrzowi. Bądźcie zdrowi!

Wstał i skierował się ku drzwiom. Verdoja ruszył za nim. Niebawem ich mały oddział pomknął galopem.

Dlaczego sąsiad musiał umrzeć? — zadawali sobie pytanie mieszkańcy hacjendy del Erina. Dlaczego właśnie Arbellez został dzierżawcą jego hacjendy? A więc ten człowiek, co tu był przed chwilą, to Juarez, przed którym drży cały Meksyk, Juarez, który dla jednych jest obiektem miłości, dla innych nienawiści. Zastanawiając się nad tym wszystkim nie przeczuwali nawet, że wizyta Wielkiego Indianina — i to, co się z nią wiązało — będzie miała dla nich samych zupełnie niespodziewane skutki.

Gdy Juarez wrócił do Vandaquy, ujrzał przed domem cały stos rzeczy, które jego żołnierze uznali za godne wywiezienia. Łup podzielono, a choć każdy otrzymał niewiele, wszyscy byli zadowoleni, nie przywykli bowiem do bogactw.

Juarez dał instrukcje rotmistrzowi. Pobyt jego u Arbelleza miał trwać niedługo. Tyle tylko, ile trzeba było, by konie wypoczęły przed czekającą je uciążliwą drogą do Chihuahua. Juarezowi zależało na tym, aby Verdoja jak najprędzej objął tam władzę w jego imieniu. Długo rozmawiali w cztery oczy. Treścią tej rozmowy były zapewne sprawy wagi państwowej. Wreszcie pożegnali się uściskawszy sobie dłonie. Juarez dosiadł konia i pomknął na czele szwadronu tą samą drogą, którą przybył rano. Tuż po nim wyjechał Verdoja ze swymi ludźmi. Vandaqua opustoszała.

ROTMISTRZ

Zapadał już mrok, gdy głośnie uderzenia końskich kopyt dały znać mieszkańcom z Eriny o zbliżaniu się żołnierzy. W budynku mieli zamieszkać tylko oficerowie, żołnierzy postanowiono rozlokować pod gołym niebem. Verdoja i inni oficerowie zostali zaproszeni do salonu. Kiedy wychylili powitalny toast, stara Hermoyes zaczęła ich rozprawadzać po pokojach. W tym czasie Emma Arbellez była w pomieszczeniu przeznaczonym dla rotmistrza. Obeszła już wszystkie inne, sprawdzając, czy należycie przygotowano je dla gości. Gdy rozległy się kroki na korytarzu, nie zdążyła już wyjść z pokoju.

Verdoja otworzył drzwi. Emma była piękna i dawniej, teraz jednak troska o ukochanego wysubtelniła jej rysy do tego stopnia, że wydała się rotmistrzowi jakąś niezmierną zjawą. Słońce właśnie kładło się do snu, jego ostatnie promienie otaczały postać dziewczyny różowozłotą poświatą. Stał jak wryty. Poczł ogromną i gwałtowną namiętność, właściwą ludziom takim jak on: brutalnym, goniącym za uciechami.

Emma zarumieniła się i skinąwszy głową rzekła:

— Proszę wejść, jest senior u siebie.

— Czuję się szczęśliwy — powiedział, składając głęboki ukłon — że mieszkanie moje odwiedziła tak czarująca istota. Czy mam cię zwać, seniorita, aniołem tego domu? Może...

Przerwała mu:

— Jestem córką hacjendera.

— A ja rotmistrzem kawalerii. Verdoja, do usług. Czy mogę ucałować cudną rączkę pani?

Wyciągnął rękę, ale Emma błyskawicznie prześlizgnęła się obok niego.

— Nie! — krzyknął. — Nie puszczę pani!

Chciał ją zatrzymać, uciekła jednak, zamykając drzwi za sobą.

Verdoja stał osłupiały.

— Do diabła! — zawołał po chwili. — Jaka piękna! Jeszcze nie zdarzyło mi się nigdy tak zakochać od pierwszego wejrzenia.

Emma była niezmiernie zadowolona, że udało jej się uciec. Przerazało ją to, co spostrzegła w oczach tego człowieka. Muszę go unikać i mieć się na baczności — postanowiła. Szybko pobiegła do pokoju chorego.

Zastała tam Sternaua. Stan Piorunowego Grota był zadowalający. Operacja udała się znakomicie, gorączka niezbyt mu dokuczała. Rozmawiał właśnie z doktorem o dalszym przebiegu rekonwalescencji. Na widok ukochanej na jego bladej twarzy pojawił się rumieniec radości.

— Chodź tu, Emmo — poprosił. — Wyobraź sobie, że doktor Sternau zna moją ojczyznę.

Emma wiedziała o tym od dawna, udała jednak, że to dla niej nowina.

— Ach, tak. Co za szczęśliwy zbieg okoliczności.

— No właśnie. I brata mego doktor zna również. Widział go przed odjazdem.

Ten brat był w tej chwili tuż obok nich, ukryty przy oknie za firanką. Choremu należało oszczędzać wzruszeń, zarówno wesołych, jak i smutnych. Długie cierpienia i przebyta operacja tak go osłabiły, że niemal przez cały czas leżał pogrążony we śnie albo drzemał. Momenty świadomości jak ten zdarzały się dotąd rzadko.

Zaledwie Sternau wstał, ustępując miejsca Emmie, chory ujął ją za rękę, uśmiechnął się i zamknął oczy. Po chwili już spał, trzymając rękę ukochanej w swojej dłoni.

— Nie ma pan już żadnych obaw, doktorze? — szepnęła Emma.

— Żadnych. Wracająca sprawność umysłu i zdrowy sen wzmocnią go szybko tak pod względem

fizycznym, jak duchowym. Nie wolno nam tylko narażać go na wzruszenia. Ale i pani powinna bardziej dbać o siebie, nie denerwować się. Bo inaczej, ostrzegam, Unger wyzdrowieje, a pani wpadnie w chorobę.

— Niech się senior nie obawia, jestem silna. Sternau i Unger wyszli przed dom, bo ciekawiło ich, co się dzieje w obozie żołnierskim. Właśnie znoszono drwa na ognisko i układano siodła, które miały służyć za poduszki. Arbellez podarował żołnierzom wołu, którego zarżnęli i teraz kroili na kawały.

Gdy nadeszła pora kolacji, doktor i kapitan przeszli do jadalni. Niebawem zjawili się tam również oficerowie. Rotmistrz obrzucił stół uważnym spojrzeniem, szukając Emmy. Nie było jej jednak; honory pani domu pełniła stara Hermoyes.

Arbellez dokonał wzajemnej prezentacji gości. Meksykańscy oficerowie potraktowali Europejczyków uprzejmie, lecz z rezerwą. Uważali się za nie byle jakich caballeros, którym nie przystoi nadskakiwać jakimś tam cywilom.

Verdoja obserwował Sternaua, Ungera i Mariana. A więc to są ci ludzie, których śmierć ma mu przysporzyć miliony. Wzrok jego, prześlizgnąwszy się po Marianie i Ungerze, spoczął na potężnej postaci Sternaua. Z tym olbrzymem — pomyślał — będzie ciężka przeprawa. Musi być bardzo silny, z każdego jego ruchu przebija poczucie własnej mocy. Pokona go tylko ten, kto użyje podstęp.

Podczas rozmowy prowadzonej za stołem Arbellez wtrącił uwagę, która zaintrygowała rotmistrza.

— Obecność panów tutaj — powiedział — to nie tylko przyjemność dla nas, ale i gwarancja spokoju. Jeszcze wczoraj groziło hacjendzie wielkie niebezpieczeństwo.

— Niebezpieczeństwo? — udał zdziwienie Verdoja.

— Miała na nas napaść banda.

— Jak liczna?

— Składająca się z trzydziestu ludzi.

— A, do diabła! Skoro grasują takie bandy, trzeba koniecznie wzmocnić strażę. Czy celem tej wizyty była cała hacjenda czy też poszczególne osoby?

— Właściwie poszczególne osoby. Ponieważ jednak przebywają w tym domu, pod moją opieką, zaplanowano napad na hacjendę i wymordowanie wszystkich mieszkańców.

— Do licha! Czy mogę wiedzieć, kim są te osoby?

— Oczywiście. Panowie Sternau, Mariano i Unger.

— I jakże wywinęliście się panowie z rąk tych łotrów?

— Doktor Sternau powybił ich znaczną ich liczbę. Oficerowie uśmiechnęli się powątpiewająco.

— Rozprawił się zapewne tylko z kilkoma? — pytał dalej Verdoja.

— Mniej więcej z jedną trzecią bandy.

— I sam dał sobie z nimi radę?

— Miał tylko jednego towarzysza.

— To nieprawdopodobne! Dziesięciu ludzi pozwoliło się pozabijać jednemu człowiekowi? To jakaś mistyfikacja!

— Nie, to prawda! — zawołał hacjendero. — Chcecie posłuchać tej historii? A więc...

— Dajmy temu spokój — przerwał mu Sternau. — Nie był to żaden bohaterski czyn.

— Przeciwnie, to nie lada bohaterstwo zabić dziesięciu ludzi — wtrącił rotmistrz — i spodziewam się, że pan pozwoli seniorowi Arbellezowi opowiedzieć nam tę niezwykłą historię.

Doktor wzruszył ramionami, ale nie opierał się dłużej. Arbellez mówił tak żywo i barwnie, że oficerowie słuchali z zapartym tchem.

— Po prostu wierzyć się nie chce! — zawołał rotmistrz. — Senior Sternau, gratuluję panu!

— Dziękuję — odparł Sternau chłodno. Arbellez mówił dalej.

— Czy słyszeliście kiedyś, senior Verdoja, o wodzu Indian, Bawolim Czoło?

— Tak, słyszałem. To wódz Miksteków.

— A o myśliwym Północy, zwanym Matava-se?

— Także. Powszechnie słynie z siły i odwagi.

— A więc senior Sternau to Matava-se, a Bawole Czoło był jego towarzyszem w Wąwozie Tygrysa.

Oficerowie aż krzyknęli ze zdumienia. Sternau wstał od stołu.

— Wolałbym — powiedział stanowczo — by mniej się zajmowano moją osobą.

Verdoja był nie w ciemną bity. Mariano, pomyślał, jest tu główną osobą, a jeżeli Władca Skał występuje w jego obronie, musi to być rzecz wielkiej wagi. Postanowił więc działać szybko.

— Niech pan jeszcze zostanie, doktorze — poprosił — i powie nam, dlaczego ta banda upatrzyła sobie właśnie pana i tych dwóch seniorów?

Nim Sternau otworzył usta, Arbellez był już gotów do nowej opowieści.

— Zaraz to wam wytłumaczę! — zawołał. Sternau jednak nie pozwolił na to.

— To sprawy prywatne, nie sądzę, by mogły zainteresować seniora.

Arbellez przyjął w milczeniu zasłużone upomnienie. Ale Verdoja nie dawał za wygraną:

— Czy Wąwóz Tygrysa leży daleko stąd?

— O godzinę drogi — odpowiedział Sternau.

— Chciałbym zobaczyć to miejsce. Czy byłby pan łaskaw zaprowadzić nas tam, doktorze?

— Jestem do dyspozycji panów.

Przez twarz rotmistrza przemknął wyraz zadowolenia, opanował się jednak natychmiast. Sternau, który zwracał uwagę na każdy drobiazg, zauważył, że jego słowa nadmiernie uradowały dowódcę. Stał się więc czujny i podejrzliwy, nie dając oczywiście nic poznać po sobie.

— Kiedy będziemy mogli tam pójść? — zapytał Verdoja.

— Kiedy tylko senior zechce.

— A więc jutro. Pozwolę sobie podać panu później dokładniejszą godzinę.

Więcej już nie poruszano tego tematu. Po kolacji oficerowie udali się do swych apartamentów. Jeden z poruczników, Pardo, oparty o framugę okna, obserwował okolicę, rozświetloną płomieniami ognisk, palonych przez żołnierzy. Nagle ujrzał jasną postać, przechodzącą między ciemnymi krzewami ogrodu.

Była to Indianka Karia. Spacerując samotnie, rozmyślała o hrabi Alfonsie, którego niegdyś kochała, i dziwiła się sobie, iż takiemu człowiekowi mogła kiedyś oddać swe serce. Nienawidziła go teraz z całej duszy. Wspominała Niedźwiedzie Serce, walecznego wodza Apaczów, który ją kochał, i żałowała, że wcześniej okazywała mu chłód i obojętność. Jakże byłaby szczęśliwa, gdyby mogła zobaczyć go raz jeszcze.

Raptem usłyszała ciche kroki. Odwróciła się i ujrzała porucznika. Chciała odejść, lecz zastąpił jej drogę i powiedział z lekkim ukłonem:

— Nie uciekaj, seniorita. Nie chcę cię pozbawiać rozkoszowania się zapachem kwiatów.

Popatrzyła na niego badawczo:

— Kogo senior szuka?

— Nikogo. Wieczór taki piękny, więc wyszedłem do ogrodu. Czy tu wstęp wzbroniony?

— Dla gości wszystko stoi otworem.

— A może przeszkadzam, piękna seniorito?

— Karii nikt nie może przeszkadzać. W ogrodzie dosyć jest miejsca dla nas obojga.

Porucznik zamiast oddalić się udał, że nie rozumie tej przejrzystej aluzji i podszedł o krok bliżej.

— Na imię pani Karia? — zapytał. — Jak się pani znalazła w hacjendzie?

— Seniorita Emma jest moją przyjaciółką.

— A kto to taki ta seniorita Emma?

— Nie widział jej pan jeszcze? To córka seniora Arbelleza.

— Czy ma pani tutaj krewnych?

— Bawole Czoło jest moim bratem.

— Ach — poczuł się niemile dotknięty — Bawole Czoło, wódz Miksteków? Czy przebywa obecnie w hacjendzie?

— Nie.

— Ale wczoraj był tutaj? To on walczył u boku doktora Sternaua w Wąwozie Tygrysa?

— Bawole Czoło jest wolnym człowiekiem. Żyje i wędruje z miejsca na miejsce, nie zdając nikomu sprawy z tego, co robi.

— Słyszałem o nim wiele. Wiedziałem, że jest królem cibolerów, ale nie miałem pojęcia, że ma taką piękną siostrę.

Ujął rękę Indianki, by złożyć na niej pocałunek, ale wyrwała mu ją i zawołała z niechęcią:

— Dobranoc, senior!

Właśnie w tej chwili odblask ogniska wyraźnie oświetlił twarz dziewczyny. Porucznik postąpił jeszcze krok bliżej.

— Błagam, niech pani nie ucieka, seniorito, nie jestem przecież pani wrogiem. Kocham panią.

— Kocha mnie pan? Przecież nie zna mnie pan wcale.

— I co z tego? Miłość przychodzi jak piorun z nieba, jak meteor, który nagle zjawia się na firmamencie. Tak też spadła i na mnie.

— Ma pan rację, miłość białych to piorun, który wszystko niszczy, to meteor, który błyszczy przez chwilę, a potem gaśnie. Miłość białych to niewierność i kłamstwo.

Odwróciła się, chcąc odejść. Ale porucznik objął ją i przyciągnął ku sobie.

— Proszę mnie puścić! — krzyknęła. — Jak pan śmie mnie dotykać?!

— Miłość mnie rozgrzesza. Próbowала się wyrwać.

— Precz, precz ode mnie, inaczej...

— Co inaczej? — roześmiał się i chciał ją pocałować, ale Karii udało się oswobodzić prawą rękę i zadać mu cios pod brodę. Uderzenie było tak silne, że rozluźnił uścisk. Dziewczyna zaczęła szybko uciekać w kierunku furtki ogrodowej.

— Czekaj, ty diable przeklęty! Zapłacę ci za to! — zaklął i pobiegł za nią.

Rotmistrz również otworzył okno, by przewietrzyć pokój z dymu papierosów. Zatopiony w myślach, chodził tam i z powrotem. Po chwili podszedł do okna. Wzrok jego padł na białą postać kobiety, obok której stał jakiś mężczyzna.

— Kto to może być? — rzekł do siebie. — Czy to córka hacjendera? A ten mężczyzna koło niej? Muszę zobaczyć.

Pośpiesznie zszedł do ogrodu. Tuż przy furtce wpadła na niego z impetem białą ubrana dziewczyna.

— Ach, seniorito! Karia spostrzegła Verdoja dopiero teraz i zatrzymała się machinalnie. Chciał ją wziąć za rękę. Wyrwała się jednak i zadała mu pięścią w głowę uderzenie nie słabsze niż przed chwilą porucznikowi.

— Do diabła! — zawołał rotmistrz. — Co to za drapieżna kotka?

W tym momencie nadbiegł porucznik.

— Porucznik Pardo? — spytał Verdoja. — Dokąd seniorowi tak śpieszno?

Pardo zatrzymał się.

— To pan, rotmistrzu? Czy widział senior tę jędzę?

— Owszem, nie tylko widziałem, ale i poczułem.

— Poczł pan?

— Tak, niestety. Jej pięść dosięgła mego karku.

— W takim razie spotkało rotmistrza to samo, co mnie.

— To znaczy?

— Patrzył pan rotmistrz przez okno?

— Tak

— Zobaczył białą postać kobiecą?

— Tak.

— Postanowił ukraść całusa?

— No tak...

— I zszedł pan rotmistrz do ogrodu?

— I to senior zgadł.

— A więc mieliśmy te same zamiary i osiągnęliśmy ten sam rezultat — roześmiał się porucznik.

Rotmistrz był wprawdzie przełożonym porucznika, ale w wojsku meksykańskim panowała luźna dyscyplina. Zresztą obaj byli teraz po służbie, a co najważniejsze, od dawna łączyła ich przyjaźń. Nie raz i nie dwa wspierali się nawzajem w awanturniczych przygodach.

— Kim jest ta mała? — zapytał Verdoja.

— Indianka. Nazywa się Karia. Zdaje się, że jest towarzyszką pani domu.

— Pani domu? Seniority Emmy?

— Tak. Zna pan rotmistrz tę Emmę? Czy piękna?

— Stokroć piękniejsza od Karii.

— No, no. I przystojniejsza, i bardziej uprzejma?

— Tego nie powiem. W tym domu kobiety zachowują się jak w klasztorze. Ale mam świetną propozycję: chce pan mieć tę Indiankę?

— Za wszelką cenę. A pan, panie rotmistrzu, chciałby zdobyć Emmę, prawda?

— O tak, także za wszelką cenę. Pomagajmy sobie nawzajem.

— Doskonale. Oto moja ręka.

— Słowo się rzekło. Trzeba więc naprzód dowiedzieć się, czy serca tych dziewcząt są wolne.

— Może uprzedził nas doktor Sternau? — zwątpił Pardo.

— Nie przypuszczam, podejrzewam raczej tego Mariana. Czy nie zauważył senior, że hacjendera stara się go wyróżnić, chociaż w sposób nieznaczny i delikatny? Można odnieść wrażenie, że uważają tutaj Mariana za kogoś lepszego od pozostałych.

— Nie miałem okazji do tego rodzaju obserwacji. No, a teraz chętnie bym się przespał. Ta dziewczyna ma pięść atlety. Kto by się tego spodziewał po jej małej rączce! Twarz mnie jeszcze boli od uderzenia.

— Niech więc pan śpi smacznie, poruczniku. Jutro wznowimy atak. Mam nadzieję, że się uda. Dobranoc.

— Dobranoc, senior Verdoja.

Pardo oddalił się, rotmistrz zaś pozostał w ogrodzie mniej więcej do północy. Później udał, iż obchodzi warty i przy tej sposobności dostał się niepostrzeżenie do południowej części żywoplotu.

W tym miejscu umówił się z opryszkiem. Bandyta był już na miejscu, ale tak się zaszył w ciemnościach, iż nawet rotmistrz go nie dostrzegł.

— Senior — szepnął, gdy Verdoja przechodził obok niego.

— Ach, to ty? A gdzie są twoi towarzysze?

— W pobliżu.

— Dobrze ukryci?

— Nie bój się, senior. A więc jakie rozkazy?

— Czy znasz doktora Sternaua?

— Nie, żaden z nas go nie zna.

— To niedobrze.

— Dlaczego?

— Ma jutro pojechać ze mną konno do Wąwozu Tygrysa. Tam go zastrzelicie.

— Zastrzelimy, zastrzelimy z pewnością — przerwał bandyta. — Powybijają naszych towarzyszy, więc musi umrzeć.

— Ale jak go rozpoznać? Nie mogę z nim jechać sam, będę musiał wziąć paru moich ludzi. A może ktoś się jeszcze do nas przyłączy.

— Opisz mi go, senior.

— Jest wyższy ode mnie i lepiej zbudowany. Ma brodę. Jak będzie ubrany i na jakim koniu pojedzie, tego oczywiście dziś określić nie mogę.

— W takim razie, senior, trzymaj się stale jego prawej strony.

— Czy ci to wystarczy?

— W zupełności. Ale co z pozostałymi dwoma?

— Wydam ich wam przy innej okazji. Musisz tu na mnie czekać każdej nocy. No, a teraz rozstańmy się, bo mógłby nas ktoś zauważyć.

Po tych słowach odszedł. Położywszy się do łóżka, przespał noc spokojnie. Planowane morderstwo w najmniejszym stopniu nie poruszyło jego sumienia.

Następnego ranka przy wspólnym śniadaniu zaproponował, by wyruszyli do Wąwozu Tygrysa zaraz, tuż po posiłku. Sternau się zgodził. Obaj porucznicy poprosili, aby im również było wolno pojechać. Verdoja przystał na to chętnie. Poza tym nikt nie chciał brać udziału w eskapadzie. To było rotmistrzowi na rękę. Sternau okazał się jedynym wycieczkowiczem nieumundurowanym, nie mogło być więc mowy o żadnym nieporozumieniu — kulka musiała go trafić.

Jechali tą samą drogą, co Sternau z Bawolim Czołem. Lekarz wysforował się naprzód. W lesie zsiadli z koni, trzeba je bowiem było prowadzić po krętych ścieżynach. Zbliżyli się do wąwozu. Sternau zatrzymał się u wylotu.

— Zostawimy tu konie — rzekł. — Niech się pasą, dopóki nie wrócimy.

Towarzystwo przyjęło tę propozycję. Sternau miał przy sobie strzelbę oraz sztylet za pasem. Przy wejściu do wąwozu zatrzymał się nagle i uważnie obserwował trawę.

— Czego pan szuka? — zapytał rotmistrz.

Nie odpowiedział, ale też nie spuszczał oczu z ziemi. W wąwozie rotmistrz trzymał się blisko Sternaua. Rzucił niecierpliwie spojrzenia po zboczach, w każdej chwili mógł przecieżyć paść śmiertelny strzał. Po jakimś czasie napotkali zwłoki zabitych, odarte z broni i odzieży; szedł od nich obmierzły trupi zapach.

— A więc tu się odbyła rozprawa? — rotmistrz zwrócił się do Sternaua.

— Tak.

— A te trupy to dzieło pana i Bawolego Czoła? Doktor potwierdził skinieniem głowy.

Przyglądali się ciałom. Oficerowie nie spostrzegli, że Sternau pochylał się aż nazbyt nisko do ziemi, starając się kryć za ich postaciami. Nie zauważyli również, że jego badawczy wzrok błędzi ukradkiem to po prawej, to po lewej stronie wąwozu.

— Tyle trupów! — zawołał rotmistrz. — Doprawdy, z pana zawołany strzelec.

Sternau obojętnie wzruszył ramionami.

— Nie ma w tym nic nadzwyczajnego. Trzeba tylko użyć broni w odpowiednim momencie.

Łatwiej położyć dziesięciu wrogów, których się widzi, aniżeli jednego ukrytego.

— Z takim w ogóle nie można sobie poradzić — wtrącił porucznik Pardero.

— Dobry strzelec i takiego trupem położy — uśmiechnął się Sternau.

— Niepodobieństwo... — powątpiewał rotmistrz.

— Czy mam udowodnić, że to możliwe?

— Ależ proszę — porucznik był wyraźnie zaintrygowany.

— Pytam więc panów: czy macie wrażenie, iż tu w tej chwili grozi nam niebezpieczeństwo?

— Ależ jakie i dlaczego? Sternau znowu się uśmiechnął.

— A jednak ktoś chce mnie zastrzelić z ukrycia. Zdjął z pleców strzelbę i wziął ją do ręki.

Rotmistrz osłupiał. Skąd ten Sternau wie o zasadzce?

— Pan raczy sobie żartować, doktorze — powiedział.

— Udowodnię panom, iż mówię poważnie. Podniósł strzelbę, wycelował i dwa razy pociągnął za kurek. Rozległ się czyjś przeraźliwy krzyk. Sternau olbrzymimi susami popędził ku wylotowi wąwozu i po chwili znikł z oczu oficerów. Od pierwszego strzału upłynęła zaledwie minuta. — Co to było? — zawołał Pardero.

— Chyba zabił człowieka — powiedział drugi porucznik.

— Potwór! — krzyknął rotmistrz.

— Uciekajmy! — Pardero nie ukrywał strachu. Pobiegli do wyjścia wąwozu i tam czekali.

Niebawem rozległy się jeszcze dwa strzały, potem wszystko ucichło na dłuższy czas. Po kwadransie coś poruszyło się w zaroślach. Spojrzeli po sobie z przerażeniem i chwycili za broń.

— Nie lękajcie się, seniores, to ja.

Staął przed nimi Sternau.

— Senior, co to było? — zapytał porucznik.

— Strzelałem w obronie własnej.

— Kto dybał na pańskie życie? Dlaczego? Skąd senior wie o tym?

— Powiedziały mi to moje oczy.

— Myśmy nic nie zauważyli.

— Nic dziwnego, nie jesteście ludźmi prerii. Pan rotmistrz widział, że przy wejściu do wąwozu obserwowałem trawę. Robiłem to dlatego, że zobaczyłem ślady ludzi sprzed kwadransa. Patrzcie, jeszcze je widać.

Wskazał na ziemię. Oficerowie na próżno starali się cokolwiek dojrzeć.

— Trzeba mieć wprawne oko — mówił dalej Sternau. — Ślady prowadzą na prawo, w górę. Kiedy tylko weszliśmy do wąwozu, przyjrzałem się całemu stokowi i zauważyłem kilku mężczyzn, którzy obserwowali nas z ukrycia. Oni nie mogli dojrzeć, że ich obserwuję, gdyż na moje oczy cień rzucało rondo kapelusza.

— Skąd pan wie, że to byli wrogowie? — zapytał rotmistrz.

— Wystawili przecież strzelby przez krzaki, gdyśmy weszli do wąwozu. Widziałem wyraźnie dwie lufy.

— Caramba! — zaklął porucznik Pardero, nie mający pojęcia o całej aferze. — Przecież te lufy

mogły być równie dobrze skierowane na nas, jak na pana.

— Nie, były skierowane na mnie. Wiedząc, że mam powody do zachowania ostrożności, stale ukrywałem się za plecami pana rotmistrza. Kto by do mnie chciał strzelić, musiałby jego naprzód trafić.

Verdoja otworzył ze zdumienia usta.

— Do diabła! Więc to ja właściwie nadstawiałem głowy!

— Oczywiście — uśmiechnął się Sternau. — Uderzyło mnie, że ci ludzie tak pilnie obserwowali moją tarczę w osobie pana rotmistrza.

Czyżby doktor przeczuwał, co się miało stać? — zaniepokoił się Verdoja.

Sternau ciągnął dalej:

— A zresztą łatwo mi przyszło ukryć się za panem, lufy bowiem kierowały się ciągle na prawo, a pan łaskawie nie odstępował mego prawego boku.

Rotmistrz zbladł. Nie wątpił, że przejrzano jego zamiary, że Sternau wie, kto był aranżerem zasadzki.

— Nie widzieliście wcale strzelb — mówił lekarz — ale ja wiem dokładnie, w jakim kierunku od lufy należy szukać głowy celującego. Oba moje strzały trafiły dwoje ludzi prosto w głowę. W tej samej chwili wychyliły się z zarośli jeszcze dwie strzelby, dlatego odskoczyłem na prawo i pobiegłem ku wyjściu z wąwozu. Te łotry wybrały sobie bardzo złe stanowisko, należałoby im dobrze skórę wyłoić za tę głupotę.

— Gdzie pan poszedł później? — zapytał rotmistrz.

— Wdrapałem się szybko na górę, aby zająć ich od tyłu. Gdy dotarłem na miejsce, już ich nie było. Uciekli. Słyszac w oddali szelest w krzakach; posłałem jeszcze na chybił trafił dwie kulki.

— Gdzie są ciała zabitych?

— Leżą na górze. Chcecie je zobaczyć? W takim razie chodźmy. Ci, którzy uciekli, zabrali zabitym broń i pieniądze.

Udali się za doktorem na stromy brzeg wąwozu i ujrzeli dwa ciała leżące na ziemi z przestrzelonymi głowami. Rotmistrz stwierdził z zadowoleniem, iż herszta bandy, z którym rozmawiał o północy i którego oczekiwał dziś o tej samej porze, nie ma wśród trupów.

— Ryzykował pan wiele, kiedy chodził pan z nami po wąwozie, wiedząc, że skierowano na pana lufy strzelb — rzekł do Sternaua jeden z poruczników.

— Ryzykowałem bardzo mało. Więcej, o wiele więcej ryzykowali ci zabici, pokazując mi przed strzałem lufy swoich strzelb. Doświadczony westman nie zrobiłby tego nigdy.

— Co poczniemy z ciałami zabitych?

— Nic, niech leżą obok zwłok swoich towarzyszy. Sądzę, że ci dwaj ludzie byli wczoraj w San Rosie wraz z jakimś Cortejem. Panowie również przybywają stamtąd, prawda?

Sternau wypowiedział te słowa na pozór obojętnie, ale rotmistrz wyczuł w tonie coś w rodzaju oskarżenia.

— Tak, ten Cortejo został doprowadzony do Juareza, gdyśmy właśnie zasiedli do kolacji — odparł jeden z poruczników.

Rotmistrz rzucił na niego gniewne spojrzenie, porucznik jednak nie zauważył tego.

— Czy Cortejo miał jakichś ludzi ze sobą?

— Tak, około dwudziestu.

— Czy ci dwaj należeli do nich?

— Nie przyglądałem się im dokładnie, ale mam wrażenie, że tak. Pan rotmistrz będzie mógł zresztą udzielić bliższych informacji.

— Dlaczego właśnie pan rotmistrz?

— Bo Cortejo nocował u niego.

Verdoja znowu spojrzął groźnie na porucznika, ale ten ponownie tego nie dostrzegł. Nie uszło to jednak uwagi Sternaua. Nie dał nic poznać po sobie i rzekł spokojnie:

— Nie przypuszczam, aby pan rotmistrz wiedział coś w tej sprawie. A zresztą uważam ją za załatwioną. Łotry otrzymały nauczkę.

Wrócili do miejsca, w którym pozostawiono konie.

Pały się spokojnie. Dosiedli koni i ruszyli w powrotną drogę. Rotmistrz milczał, doktor również. Porucznicy gawędzili półgłosem. Tematem ich rozmowy był Sternau. Mówili o jego odwadze, przytomności umysłu i zręczności. W godzinę po przybyciu do hacjendy wszyscy żołnierze wiedzieli już o przygodzie, w której doktor odegrał taką ważną rolę. Dowiedzieli się o niej oczywiście i mieszkańcy hacjendy. Jedni zachwycali się zachowaniem Sternaua, drudzy stwierdzali ze smutkiem, że człowiek w tych stronach jest niepewny życia, inni wreszcie ubolewali, iż Sternauowi udało się zabić tylko dwóch bandytów. Doktor czuł, że rotmistrz go obserwuje. Dlatego mówił niewiele, ograniczając się tylko do kilku ogólników. Gdy po obiedzie Verdoja udał się na konną przejażdżkę, Sternau poprosił do siebie hacjendera i swych przyjaciół, aby zakomunikować im swe podejrzenia.

Sądziło z początku, że jest w błędzie, w miarę jednak opowiadania zaczęli się skłaniać ku jego przypuszczeniom. W końcu postanowili mieć na oku rotmistrza i strzec się go.

Wieczór ten minął podobnie jak poprzedni. Tylko Karia była na tyle ostrożna, że nie poszła do ogrodu. Gdy rotmistrz pożegnał się, życząc wszystkim dobrej nocy, Sternau udał, że również idzie spać. Zawrócił jednak ze schodów i wszedł do jednego z pomieszczeń, leżących w suterenie obok sieni.

Jeżeli Verdoja miał jakieś stosunki z bandą, było dla Sternaua oczywiste, że porozumiewa się z nią tylko w nocy. Postanowił więc czatować. Tylne drzwi domu zamykano, można go było opuścić jedynie przez frontowe, nie mógł więc przeoczyć rotmistrza, gdyby ten szedł na schadzki.

Otworzył jedną z okiennic, by lepiej słyszeć, co się dzieje, i usiadł na krześle. Zaczął myśleć o ojczyźnie i żonie, pozostawionej w Reinswalden, ale otrząsnął się z tych wspomnień, aby nie rozpraszać uwagi. Długo tak siedział, wyęzając słuch. Gdy nastąpiła północ, wydało mu się, że jakiś szelest dobiega z sieni. Po chwili istotnie usłyszał, jak ktoś cicho otwiera frontowe drzwi, umieszczone tuż obok okna. Spojrzął przez nie i dostrzegł w ciemnościach postać rotmistrza, który ostrożnie opuszczał dom i kierował się ku głównej bramie. Nie była zamknięta. Obecność wojska zapewniała dostateczną ochronę, a zresztą oficerowie musieli wieczorem i w nocy porozumiewać się z żołnierzami. Wyskoczył przez okno, przymknąwszy je dla niepoznaki, i zaczął się skradać za idącym. Doszedł jednak tylko do żywopłotu okalającego podwórze, stąd bowiem mógł dokładnie obserwować rotmistrza, gdy ten chodził od ogniska do ogniska, wizytując warty. Obaj, Sternau i Verdoja, szli obok siebie, oddzieleni tylko parkanem.

Rzuciwszy przypadkowo okiem na dom, Sternau zauważył na górze, na dachu, spacerującą postać. Nie mógł wprawdzie rozpoznać rysów, ale wiedział, że to Emma. Poleciał jej dziś zaczerpnąć świeżego powietrza, była bowiem bardzo wycieńczona czuwaniem przy chorym. W dzień obawiała się spotkania z wojskowymi i dlatego dopiero teraz, gdy ukochany zasnął, przechadzała się po dachu. Rotmistrz obszedł cały obóz, lecz zamiast wracać skręcił za węgier domu. Sternau poszedł za nim i po chwili dotarł do miejsca, skąd usłyszał następującą rozmowę:

— To pan stał nam na drodze — mówił jakiś obcy głos. — Bylibyśmy pana trafili.

— Dlaczego nie ukryliście się na lewym brzegu wąwozu?

— Z prawej strony widać lepiej. Kto mógł zresztą przypuszczać, że z niego taki szczywany lis.

— Jest niemal wszechwiedzący. Teraz nie mogę nic zaplanować. Musimy przeczekać. Zresztą być może nawet, że ten Sternau mnie śledzi. Niepodobna nam tutaj się spotykać.

— A więc gdzie?

— Czy masz papier i ołówek?

— Nie.

— A umiesz pisać i czytać?

— Tak.

— Oto kilka arkuszy papieru i ołówek; to przyniosłem dla ciebie. Idąc stąd do Wąwozu Tygrysa, zobaczysz u wejścia do lasu, wśród pierwszych drzew, niezbyt wielki kamień. Pod tym kamieniem zostawię ci będą instrukcje. Odpowiedzi, w razie potrzeby, będziesz kładł pod tym samym kamieniem. Zrozumiałeś?

— Tak. Ale powiedz, senior, co to za postać spaceruje po dachu?

— Nie zauważyłem jej wcale. Ach, to Emma, córka hacjendera. Dotrzymam jej towarzystwa. Czy chcesz jeszcze o coś spytać?

— Nie.

— Więc odejdz. Ale pamiętaj: jeżeli jeszcze raz tak pokpicie sprawę jak dziś rano, rozejdą się nasze drogi. Obejdę się bez was. No, dobranoc.

Usłyszawszy te słowa, Sternau oddalił się po cichutku, wszedł znowu przez okno, zamknął je za sobą i poszedł do swego pokoju. Wiedział teraz dosyć dużo. Przeczucie go nie omyliło: rotmistrz był jego wrogiem. Jest na służbie u Corteja i spełnia jego polecenia. Ale czego ten łotr chce od Emmy? Czyżby tylko żartował, że chce jej dotrzymać towarzystwa? Muszę to sprawdzić — postanowił.

Po chwili ujrzał rotmistrza wracającego przez bramę. Verdoja wszedł do sieni. Niebawem dały się słyszeć ciche kroki po schodach. Po kilku minutach Sternau bezszelestnie otworzył drzwi swego pokoju i zaczął się za nim skradać. Bez szmeru, na palcach, wolno dostał się na pierwsze piętro, później na drugie. Stamtąd prowadziła drabinka na dach. Wychodziło się przez nieduże drzwiczki. Były otwarte. Sternau wychylił przez nie głowę i ujrzał Emmę, obok niej zaś rotmistrza.

— Więc pani rzeczywiście chce mnie opuścić, seniorito? — pytał właśnie Verdoja.

— Muszę odejść — rzekła Emma, idąc ku drzwiom. Sternau zauważył, że rotmistrz mocno ją ujął za rękę i nie puszczał.

— Nie, nie, musi seniorita zostać! — zawołał. — Zostanie pani i wysłucha tego, co mam opowiedzieć o mym szalonym sercu i o miłości ogromnej. Niech się pani nie opiera, to daremne!

— Bardzo proszę, niech mnie senior puści — prosiła Emma, a w głosie jej słychać było lęk.

— Nie, nie puszczę.

Próbował przyciągnąć ją ku sobie. Broniła się, lecz na próżno, w końcu zawołała zrozpaczona:

— Na Boga! Czy mam wzywać pomocy?! W mgnieniu oka wyrósł obok nich Sternau.

— Pomoc już jest, seniorito. Jeżeli senior Verdoja nie puści w tej chwili pani ręki, zrzucę go z dachu.

— Ach, senior Sternau! — Emma odetchnęła z ulgą. — Niech mi pan pomoże.

— Zaraz będzie po wszystkim, seniorito. Proszę puścić tę panią — zwrócił się do rotmistrza.

Verdoja nie usłuchał; Przeciwnie, jeszcze silniej objął Emmę ramieniem i krzyknął:

— Czego pan tu chce? Co to za rozkazy? Idźże pan do wszystkich diabłów!

Ledwie wymówił te słowa, Sternau zadał mu straszliwy cios, od którego zwałił się jak kłoda. Padając, niemal nie pociągnął za sobą Emmy. Sternau powiedział do niej:

— Chodźmy, seniorito, odprowadzę panią na dół.

— Mój Boże — skarżyła się, drżąc na całym ciele. — Nie uczyniłam przecież nic, co by go mogło ośmielić do tej poufałości.

— Wiem o tym. Tacy ludzie jak on są zdolni do najpodlejszych czynów.

— Ze względu na obecność kawalerzystów mogłam spacerować tylko po dachu, teraz i tu nie będę się czuła bezpieczna.

— Ależ, seniorito, pani potrzebuje powietrza. Nie dopuszczę do tego, aby pozbawiono panią wieczornego spaceru. Moja w tym głowa. Odprowadził Emmę po schodach do pokoju chorego i tam ją pożegnał, gdyż chciała pozostać przy narzeczonym. Wróciwszy do swego pokoju, uchylił lekko drzwi i czekał. Verdoja musiał tędy przechodzić. Po długiej chwili usłyszał na korytarzu ciche kroki rotmistrza. Dopiero teraz mógł spokojnie położyć się do łóżka.

Nieprzyjemna przygoda tak wzburzyła i przeraziła Emmę, że nie mogła zmrużyć oka w swym hamaku/zawieszonym obok posłania chorego. Dręczyły ją ciężkie, męczące myśli. Żołnierze mieli jeszcze kilka dni pozostać w hacjendzie, rotmistrz więc nieraz będzie ją mógł napastować. Czy zawsze znajdzie się tak dzielny obrońca? Na ojca zdać się nie mogła. Nie był bohaterem i musiał się liczyć z półdzikimi żołdakami, którzy gościli pod jego dachem. A zresztą rola obrońcy była w obecnych warunkach wcale niełatwa, nawet niebezpieczna. W jaki sposób tych kilku odważnych, dzielnych ludzi, przebywających w hacjendzie, miałyby przeciwstawić się oddziałowi żołnierzy, spośród których niemal każdy miał porachunki z prawem? Na tych rozmyślaniach i obawach przeszła jej cała noc. Chory leżał bez ruchu, pogrążony w głębokim śnie. Spał jeszcze wtedy, gdy Karia weszła do pokoju, aby jak co rano zapytać o jego zdrowie i pomówić z Emmą o sprawach gospodarskich.

— Jaką miał noc? — zapytała Indianka.

— Dobrą — odparła Emma. — Spał bez przerwy. Oby Bóg dał, by stan jego polepszał się jak dotąd. Doktor Sternau powiedział mi, że tylko gorączka i dalsze jej skutki mogą być niebezpieczne. Dałam Antoniemu naszych ziół, stąd też gorączka nieco opadła.

— Więc o seniora Ungera nie trzeba się już martwić. Ale za to ty mnie niepokoisz. Jesteś blada i wyglądasz na zmęczoną. Wyczerpuje cię nocne czuwanie.

— Nie to jest przyczyną mojego złego wyglądu. Czuję się fatalnie z zupełnie innego powodu.

Nie chcąc budzić chorego, szeptem opowiedziała swą nocną przygodę. Karia słuchała z najgłębszym współczuciem, po czym odwzajemniła się, Emmie, mówiąc o swym spotkaniu w ogrodzie z porucznikiem Parderem. Ostatnie jej słowa usłyszał Sternau, który cicho wszedł do pokoju, aby odwiedzić chorego, gdy tylko się obudzi.

— Więc spotkały panią podobne przykrości co senioritę Emmę? — zapytał Indiankę.

— Niestety tak — odparła.

— Z czyjej strony?

— Porucznik Padero zatrzymał mnie w ogrodzie, a gdy uciekałam, wpadłam na rotmistrza, który chciał mnie schwytać.

— Kanalie!

Powiedziawszy to jedno dosadne słowo, Sternau podszedł do śpiącego. Przyjrząwszy mu się uważnie i sprawdziwszy jego tętno, skinął głową z zadowoleniem. Gdy się dowiedział, że chory spał przez całą noc bez przerwy, twarz rozjaśniła mu się jeszcze bardziej.

— Niechaj spokojnie śpi nadal — powiedział. — To mu najszybciej wróci zdrowie. Kiedy się obudzi, będzie mógł zobaczyć swego brata.

PODWÓJNY POJEDYNEK

Rankiem Sternau wyszedł na jedno z pastwisk, dosiadł pierwszego z brzegu konia i wyruszył na przejażdżkę po okolicy. Kiedy wrócił ze spaceru, zostawił konia na pastwisku i udał się w kierunku domu. Przy bramie spotkał porucznika Pardera.

— Ach, senior Sternau — rzekł tamten niezbyt grzecznym tonem. — Szukałem pana.

— W jakiej sprawie?

— Muszę z seniorem pomówić.

— Musi pan? Czy to ma znaczyć, że chce mnie pan zmusić, bym go wysłuchał?

— Oczywiście — brzmiała ironiczna odpowiedź.

— Człowiek kulturalny nie odmawia posłuchania nikomu, byle tylko odpowiednie formy były zachowane. Ale tu, pod bramą, nie mam zamiaru dyskutować. Niech pan przyjdzie do mego pokoju.

Porucznik pobladł z gniewu i cofnął się o krok. — Puszy się pan jak paw. Czy uważa się senior za osobę aż tak wybitną?

— Chyba mi pan przyzna, że zarówno pod względem duchowym, jak etycznym nie jesteśmy sobie równi. Mimo to zapraszam do siebie.

Po tych słowach Sternau chciał odejść, ale porucznik chwycił go za ramię.

— Więc senior przypuszcza, że pod względem moralnym niżej stoję od pana?

— Nie przypuszczam, ale jestem przekonany. Przede wszystkim proszę zdjąć rękę z mego ramienia. Nie lubię tego rodzaju poufałości.

Porucznik przeląkł się tonu i wzroku doktora, pozwolił mu więc odejść. Mruknął tylko pod nosem:

— Pyszałku, zapłacisz mi za to! Ci ludzie zza oceanu są jak muły; znoszą cierpliwie i bez protestu największe przykrości, ale gdy jm coś nagle strzeli do głowy, wierzgają i stają się niesforni. Wtedy tylko batem można ich uspokoić. Przekonamy się, czy temu panu Stemauowi nie zrzędzie mina, gdy się dowie, o co chodzi.

Po chwili wszedł do pokoju doktora. Sternau powitał go chłodnym ukłonem.

— Jak senior widzi, przyszedłem — powiedział Meksykanin ze sztucznym uśmiechem. — Mam nadzieję, że teraz zechce pan pomówić ze mną.

— Owszem, o ile będzie się pan zachowywał, jak przystoi.

Pardero stracił panowanie nad sobą.

— Czy widział pan, abym się kiedyś źle zachował?! — wykrzyknął.

— Do rzeczy, poruczniku, do rzeczy. Tylko proszę mówić ciszej.

Pardero już żałował swego wybuchu.

— A więc przystępuję do rzeczy. Nie zwykłem jednak prowadzić rozmowy na stojąco.

Szukał wzrokiem krzesła, ale Sternau udał, że tego nie widzi.

— Rozmowy? — uśmiechnął się ironicznie doktor. — Jakiej rozmowy? Mam przecież pana tylko wysłuchać. Nie widzę powodu, dla którego musiałby pan usiąść. Jeżeli się to panu nie podoba, proszę uważać nasze spotkanie za skończone.

Twarz porucznika oblał rumieniec gniewu. Powiedział drżącym z oburzenia głosem:

— Senior Sternau, nie mogę uważać pana za dżentelmena!

— To mi najzupełniej obojętne.

Pardero miał znowu wybuchnąć, widząc jednak, że Sternau rozgląda się za kapeluszem, rzekł względnie spokojnie:

— Przychodzę z polecenia mego przełożonego, rotmistrza Verdoja.

Sternau nie zareagował ani słowem, więc Pardero ciągnął dalej:

— Czy przyznaje senior, że go obraził? Doktor wzruszył ramionami.

— Po prostu powaliłem tego człowieka na ziemię. Czy to pańskim zdaniem jest obraza?

— Ależ oczywiście! Rotmistrz żąda satysfakcji.

— Ach, tak — Sternau udał zdumienie. — Satysfakcji? I żąda jej przez pana? Poruczniku Pardero, czy pan zna zasady pojedynku?

— Pan wątpi?

— Tak, wątpię, skoro pan występuje w charakterze, który uwłacza pańskiej osobie. Czy wiadomo panu, dlaczego podniosłem rękę na rotmistrza?

— Owszem, doskonale mi wiadomo — Pardero aż trząsał się z wściekłości.

— W takim razie pogardzam panem. Powaliłem rotmistrza na ziemię, ponieważ obraził przyzwoitą kobietę, córkę tego, który go przyjął pod swój dach. Kto chce pośredniczyć w takiej sprawie, ten jest moim zdaniem wyzuty ze czci i honoru.

Meksykanin chwycił za rękojeść swej szabli, do połowy wyciągnął ją z pochwy i krzyknął:

— Jak pan śmie?! Ja panu pokażę!...

— Nic pan nie pokaże.

Sternau wydawał się stoicko spokojny, ale w jego oczach płonąć zaczęły tak złowrogie blaski, iż przeraziłby się ich człowiek odważniejszy od porucznika. Doktor mówił dalej:

— Niech pan zdejmie rękę z szabli, inaczej połamię ją na pańskich oczach. Właściwie nie powinienem się dziwić, że senior podjął się tej misji. Jest pan przecież takim samym szubrawcem jak on. Pan również...

— Dosyć! — krzyknął porucznik siny z gniewu. — Jeszcze jedno podobne słowo, a przeszyję pana szablą. Czy pan odwoła słowo szubrawiec?

To rzekłszy, wyciągnął szablę z pochwy i zamierzył się na Sternaua. W tej samej chwili ostra, długa szabla porucznika znalazła się w ręce doktora. Pardero nie mógł pojąć, jak to się stało. Sternau zgął ostrze, złamał i kawałki stali rzucił porucznikowi pod nogi.

— Oto pański nożyk do obierania jabłek. Obraził pan senioritę Karię, podobnie jak rotmistrz obraził pannę Emmę. Jesteście godnymi siebie szubrawcami. Jeżeli senior nie opuści natychmiast mego pokoju, wyrzucę pana przez okno.

Porucznik przemknął szybko ku drzwiom. Stanąwszy przy nich, odwrócił się i zawołał, grożąc Sternauowi pięścią:

— Odpokutuje pan... i to niedługo. Będzie senior miał rozprawę z nami dwoma. Jeden z nas zabije cię z pewnością, jeżeli nie masz w sobie diabła.

Po tych słowach oddalił się śpiesznie. Sternau zaś usiadł wygodnie i zapalił papierosa, czekając, co nastąpi dalej. Czekał niedługo. Po jakimś kwadransie ktoś zapukał. Wszedł drugi porucznik ze szwadronu Verdoja i ukłoniwszy się grzecznie, powiedział:

— Przepraszam, senior Sternau, że przeszkadzam. Czy może mi pan poświęcić pięć minut?

— Chętnie. Proszę, niech pan siada. Może papierosa? Oficer był zdumiony uprzejmością Sternaua. Porucznik Pardero zwierzył mu się, jak sobie z nim poczynał doktor. Tymczasem zamiast brutalnego przyjęcia — prawie wersal. Oficer, Europejczyk, występujący w sprawie honorowej, nie przyjąłby papierosa ofiarowanego w podobnej sytuacji, ale Meksykanin nie odmówił ani tytoniu, ani ognia. Usiedli naprzeciw siebie.

— Szczerze mówiąc — rozpoczął oficer — przyszedłem tu niechętnie. Pośredniczę w nieprzyjemnej sprawie.

— Niech pan mówi bez obawy. Jestem przygotowany do wysłuchania pańskich słów.

— A więc spełniam polecenie seniorów Verdoja i Pardera, którzy sądzą, że ich pan obraził.

— Użył pan odpowiedniego słowa. Ci panowie sądzą, że ich obraziłem, gdy tymczasem to oni obrazili dwie panie, gdy byli z nimi sam na sam. Dopiero później te seniority znalazły we mnie obrońcę. Przynosi mi pan wyzwanie?

— Tak, senior Sternau.

— Z kim mam się bić?

— Z oboma.

— Hm, żal mi pana, gdyż reprezentuje pan ludzi, dla których nie mogę mieć szacunku. Nie powinienem właściwie przyjmować wyzwania, gdyż pojedynkują się tylko ludzie honoru. Ale nie chcę panu sprawiać kłopotu. Był senior wobec mnie uprzejmy. Zresztą biorę pod uwagę i to, że znajduję się w kraju, w którym pojęcie honoru nie jest sprecyzowane. Dlatego przyjmuję wyzwanie. Czy pańscy mocodawcy mają jakieś życzenia?

— Rotmistrz chce się bić na szable, porucznik na pistolety.

— Nic dziwnego — roześmiał się Sternau. — Połamałem przecież szablę porucznikowi, wie, że umiem się obchodzić z tego rodzaju bronią, woli więc pistolety. Przyjmuję warunki tych panów, ale sam mam również dwa.

— Słucham.

— Będę się bić z rotmistrzem na szable, dopóki jeden z nas nie wypuści broni z ręki. Z porucznikiem zaś chcę się strzelać z odległość trzech kroków, z dwóch luf. Każdy mieć będzie po dwie kule.

— Na Boga, panie doktorze, przecież w ten sposób naraża się senior na pewną śmierć! Jeżeli pomyślnie skończy się dla pana spotkanie z rotmistrzem, nie uniknie pan śmierci z rąk porucznika, który ma sławę znakomitego strzelca.

— Może istnieją lepsi od niego — uśmiechnął się Sternau. — Nie lękam się porucznika Pardera. Szczegóły proszę omówić z seniorem Marianem, który będzie moim sekundantem.

— A świadkowie?

— Nie są nam potrzebni.

— A lekarz?

— Sam przecież jestem lekarzem.

Oficer się oddalił, Sternau zaś poszedł do Mariana, aby go poinformować o sprawie. Mariano przyjął ofiarowaną sobie rolę i udał się do sekundanta strony przeciwnej. Po niedługim czasie wrócił z wiadomością, że warunki Sternaua zostały przyjęte. Sternau jako wyzwany miał prawo wziąć własne pistolety, a ponieważ był ich pewien, nie trwożył się o rezultat pojedynku.

Od tej chwili nie odstępował od okna swego pokoju. Wiedział, co się będzie dziać, i nie spuszczał z oka dziedzińca hacjendy. Mniej więcej około południa rotmistrz dosiadł konia i odjechał w kierunku północnym. Sternau przypuszczał, że ma zamiar umieścić list pod umówionym kamieniem. Kazał więc przyprowadzić sobie konia i pocwałował w kierunku południowym. Obaj chcieli zmylić ślady, gdyż kamień leżał na zachód od hacjendy.

Gdy już nikt nie mógł go dojrzeć, Sternau skręcił na zachód i spiął konia ostrogami do galopu. Zależało mu na tym, by przybyć na miejsce przed rotmistrzem. Ponieważ w pobliżu mogli być ludzie Verdoja, musiał zachować największą ostrożność. Im bliżej był kamienia, tym bardziej starał się unikać otwartej przestrzeni. Wreszcie zsiadł z konia, zaprowadził go w zarośla i przywiązał do drzewa. W dalszą drogę ruszył pieszo. Gdy był już blisko celu, położył się na ziemi i zaczął czołgać. Wreszcie ujrzał kamień. Pewien, że go nikt nie śledzi, wyszukał sobie kryjówkę. O jakieś dziesięć kroków od kamienia rósł niezbyt wysoki cedr. Sternau chwycił za jeden z jego konarów, wspiął się

po nim i ukrył wśród gałęzi, tak że nikt nie mógł go dojrzeć. Ledwie się z tym uporał, usłyszał tętent kopyt. Po chwili jakiś człowiek zsiadł z wierzchowca, podszedł śpiesznie do kamienia, wsunął pod niego zwiniętą kartkę papieru, po czym wskoczył na konia i odjechał. Sternau jednym susem znalazł się na ziemi. Wyciągnął kartkę i rozwinąwszy ją, odczytał:

Dziś punktualnie o północy koło ladrillos. Jutro będziemy u celu.

Podpisu nie było. Sternau złożył kartkę i schował pod kamień. Zatarłszy ślady Wrócił do konia, dosiadł go i pełnym galopem ruszył do hacjendy. Gdy przyjechał tam, rotmistrza jeszcze nie było. Wrócił znacznie później nie przeczuwając, że ktoś odkrył jego tajemnicę. Nie przyszło mu nawet do głowy sprawdzić, czy Sternau opuszczał hacjendę.

Bandyci mieli się więc spotkać przy ladrillos. Sternau wiedział, co to słowo oznacza. Dawni mieszkańcy Ameryki Środkowej budowali swe piramidy i miasta przeważnie z kamieni zwanych przez nich adobes. Hiszpański odpowiednik tej nazwy to właśnie ladrillos. Jeszcze dziś można spotkać ruiny takich miast adobesowych i zachwycać się wspaniałą architekturą minionych stuleci. W dziewiczych lasach, na preriach lub wśród pustynnych skał pojawiają się gdzieniegdzie niemal doszczętnie zburzone mury budowane z ladrillos, co świadczy, że pustkowia te dawniej tętniły życiem.

Jedna z takich ruin znajdowała się w pobliżu hacjendy del Erina. Oddalona od niej o pół godziny drogi, wznosiła się wśród skał. Obrosła kolczastymi zaroślami i pnączami tak gęstymi, że dostać się do niej można było tylko w jednym miejscu: tuż obok zapadłego w ziemię wejścia widniał okrągły otwór, który otaczały krzaki. Sternau miał wszelkie podstawy do przypuszczenia, jego bandyci zejść się właśnie tutaj.

Całe popołudnie spędził przy chorym. Piorunowy Grot był uszczęśliwiony przyjazdem brata. Pamięć wróciła mu do tego stopnia, że dokładnie opowiedział swą przygodę z królewskim skarbem, ukrytym w pieczarze. Emma pokazała Sternauowi ofiarowane Ungerowi kosztowności, dzięki którym ubogi myśliwy przedzierzgnął się w krezusa. Dziewczyna promieniała szczęściem widząc, że ukochany wraca do zdrowia. Wskazując na kapitana Ungera, powiedziała do narzeczonego:

— Właściwie zbyt bogactwa, hacjenda będzie przecież należała do nas. Czy nie sądzisz, że ich część mógłbyś oddać bratu?

Chory skinął głową z uśmiechem.

— Bracie, co posiadam, jest również twoją własnością. Mówiłeś, że masz syna.

— Tak, mam żonę i syna.

Zaczął opowiadać o swojej rodzinie. Sternau od czasu do czasu coś dorzucał. Chory słuchał z uwagą. Po chwili rzekł:

— Mój bratanek, jak słyszę, to zdolny chłopiec, powinien więc otrzymać odpowiednie wykształcenie. Leśniczy jest wprawdzie dla ciebie szczodry, ale chciałbym jednak, abyś jeszcze bardziej uniezależnił się od niego. Musisz przyjąć ode mnie środki na kształcenie Kurta; jestem przecież twoim bratem, a jego stryjem.

Marynarz wzbraniał się przed przyjęciem tej darowizny. Dopiero gdy wszyscy, łącznie z Arbellezem, zaczęli go przekonywać, postanowiono pół żartem, pół serio, że połowa skarbów Piorunowego Grota należeć będzie do jego bratanka z Reinswalden.

Przed wieczorem chory poczuł się znowu zmęczony i zasnął. Emma została przy nim, reszta zaś towarzystwa udała się na wieczerzę. Oficerowie nie brali w niej udziału. Po ostatnich wypadkach woleli zjeść kolację w swoich pokojach.

Wstawszy od stołu Sternau oświadczył, że zajęcia zmuszają go do pozostania przez cały wieczór

w pokoju, nie chciał bowiem, aby zauważono jego nieobecność.

Upatrzawszy odpowiedni moment przekradł się do jednej z nie zamieszkanymi izb w oficynie i ukrył w niej broń, chusty i rzemienie. Potem wrócił do pokoju, ale tylko na chwilę. Zostawił światło, drzwi zamknął od wewnątrz, a klucz schował do kieszeni. Otworzył okno i wyskoczywszy przez nie, zamknął je dokładnie. Przebiegł przez dziedziniec, przesadził okalający go parkan i poszedł w kierunku ladrillos.

Było ciemno, ale w okolicy orientował się doskonale i nie obawiał się zabłądzić. Podczas wędrówek po dzikich pustkowiach nauczył się stąpać cicho, niemal bezszelestnie. I dziś trudno by go było usłyszeć lub zobaczyć. W pobliżu ladrillos podwoił czujność i posuwał się wyłącznie na czworakach.

Nagle zatrzymał się, wciągnął w nozdrza powietrze. Poczł smród spalenizny pomieszany z zapachem pieczonego mięsa. Czyżby ten łajdak — pomyślał — był tak głupi i pewny siebie, że pali ognisko? Nie widzę go jednak nigdzie. Ale zapach wskazuje, że to już niedaleko.

Popęlnął dalej i wkrótce dotarł do otworu w murze. Miał on najwyżej siedem metrów szerokości, a trzy głębokości. Sternau ukrył się w krzakach, które go otaczały, i zaczął się rozglądać. Zobaczył człowieka, siedzącego w dole przy ognisku i zajętego pieczeniem królika. Dobiegała północ. Sternau usadowił się w swej kryjówce dość wygodnie i obserwował Meksykanina, który z niezwykłym apetytem zaczął zajadać upieczone mięso. Był to człowiek mocno zbudowany, przysadzisty i dobrze uzbrojony (obok niego leżała dubeltówka, a za pasem tkwił nóż), ale Sternau nie wątpił, że uda mu się pokonać go łatwo, bez hałasu.

Po pewnym czasie doktor usłyszał czyjeś ciche kroki. Meksykanin usłyszał je również i podniósł się z ziemi.

Zarośla po drugiej stronie otworu rozsuneły się i ukazała się postać rotmistrza, oświetlona mdłym światłem ogniska.

— Czyś zwariował, człowieku! — wysyczał Verdoja.

— Dlaczego?

— Palisz ogień.

— Ach, nikt przecież tego nie widzi. Byłem głodny, więc upiekłem sobie królika.

— Niech diabli porwą twoją pieczeń! Zalatuje na sto kroków.

— Ale na sto kroków zbliży się tu jedynie ten, kto ma jakiś interes. Jesteśmy bezpieczni. Proszę do mnie, senior.

Rotmistrz zszedł do ogniska, nie usiadł jednak przy nim.

— Nie mogę długo tu pozostać — rzekł. — Musimy sprawę załatwić krótko. Gdzie twoi ludzie?

— Za górami, w lesie.

— Czy wiedzą, gdzie jesteś?

— Nie.

— To dobrze. Chcę, aby w sprawę było wtajemniczonych jak najmniej osób. Czy nie mógłbyś się ich pozbyć?

— Może... Ale czy sam wszystkiemu podołam?

— Przypuszczam. Dostaniesz sumę, jaką dałbym wam wszystkim. W każdym razie to, czego teraz żądam, będziesz mógł sam zrobić.

— O co chodzi?

— Widzę, że masz przy sobie dubeltówkę. Czy jesteś jej pewny?

— Nie chybiam nigdy.

— W takim razie musisz oddać dwa celne strzały.

— Kogo mają trafić?

— Sternaua i tego Hiszpana.

— Ale gdzie to ma być i kiedy?

— Czy znasz stare wapniaki za górą?

— Znam doskonale, byłem tam nieraz.

— Jutro rano o piątej mam przy wapniakach pojedynek.

— Caramba! Daje się pan zamordować?

— Być może tak by się stało, gdybym ciebie nie najął do pomocy. Porucznik Pardo i ja wyzwaliśmy Sternaua, Mariano jest jego sekundantem. Doktor będzie więc miał rozprawę z nami dwoma, ale w tym człowieku siedzi diabeł. Trzeba go więc unieszkodliwić przed pojedyńkiem, a w tym już twoja głowa.

— Uczynię to chętnie, senior. Marianowi także wpakować kulkę?

— Tak.

— Jestem do usług. Bodaj tego Sternaua piekło pochłonęło za zabójstwo moich towarzyszy! Jak mi pan każe zabrać się do rzeczy?

— Przed piątą ukryjesz się w pobliżu. Dostyc tam krzaków i drzew.

— Rozumiem. Pan i porucznik nie będziecie się zbyt śpieszyć. Sternau z Hiszpanem przyjdą tam wcześniej. Gdy zjawicie się na miejscu, obaj mają leżeć z przestrzelonymi głowami. Czy tak?

— Nie, muszę być przy tym obecny, muszę widzieć śmierć tych łotrów. Urządzimy coś w rodzaju widowiska teatralnego. Wyzwałem go na szable, porucznik ma się bić drugi. Gdy Sternau stanie naprzeciw mnie, zabijesz go jak psa. Druga kula musi natychmiast trafić w Hiszpana.

— To niezły plan. A zapłata?

— Otrzymasz ją tutaj jutro o północy.

— Zgoda.

— Kiedy byłeś przy kamieniu?

— Przed wieczorem.

— Miejsce jest pewne, możemy korzystać z niego bez obawy. No, to byłoby wszystko. Mam nadzieję, że mogę na ciebie liczyć. Dobranoc.

— Dobranoc, senior. Bądź pewny, że kule moje nie chybią.

Rotmistrz się oddalił; Meksykanin poobgryzał resztę kości królika, potem podniósł się, przerzucił strzelbę przez ramię i zaczął drapać się na górę. Sternau wyskoczył błyskawicznie z kryjówki i podkradł się tam, gdzie bandyta miał wyjść z zarośli. Nic nie przeczuwając, Meksykanin rozsunął krzaki. Jak spod ziemi wyrósł przed nim Sternau i chwycił go za gardło. Zbój nie mógł wydobyć z siebie ani słowa, a wkrótce stracił przytomność i padł na ziemię. Sternau zakneblował go, związał rzemieniami, owinął chustami i niby tłumok zarzucił sobie na plecy. Tak obciążony, wrócił do hacjendy. Wydawało mu się, że cały folwark pogrążony jest w głębokim śnie, ale obawiając się, że rotmistrz może znajdować się jeszcze poza hacjendą, przeczekał godzinę w zaroślach. Po upływie tego czasu zbliżył się z jeńcem do tylnego ogrodzenia domu, przerzucił przez nie swój żywy bagaż i sam je przesadził. Wrzuciwszy jeńca przez okno do nie zamieszkanego izby, wskoczył za nim i zamknął starannie okno. W całym domu panowała cisza. Po chwili więc zaniósł Meksykanina do swego pokoju. Oswobodziwszy bandytę z krępujących go więzów i chust, ujrzał skierowaną na siebie parę przerażonych oczu.

— Aha, chłopcze, poznajesz mnie? — spytał półgłosem. — Rotmistrz powiedział, że jestem wcielonym diabłem, i miał chyba rację, bo inaczej nie byłbyś teraz w moich rękach. Tu ci się będzie lepiej spało aniżeli na dworze. Ale naprzód przeszukam twoje kieszenie. Kto jest tak nieostrożny, że

piecze królika w pobliżu wrogów, ten może ma przy sobie pewną kartkę, która była schowana pod pewnym kamieniem. — Przeszukawszy kieszenie jeńca, znalazł w nich ową zmiętą kartkę. — Zatrzymaj ten papierek do rana — powiedział. — Wcześniej mi się nie przyda. A teraz prześpij się. Sen jest najlepszym doradcą. On ci podpowie, czy przy jutrzejszym przesłuchaniu masz wszystkiemu przeczyć, czy też mówić prawdę.

Po tych słowach skrępował zbója jeszcze mocniej, przywiązał do swego łóżka i sam się położył, aby zasnąć na parę godzin, dzielących go od pojedynku. Punktualnie o umówionej godzinie Mariano zapukał do jego drzwi. Sternau poprosił, by zaczekał na dole, a sam szybko się ubrał. Uważał za zbyt cenne sporządzać ustny czy pisemny testament. Stwierdziwszy, że jeniec nie uwolni się z więzów, opuścił pokój, zamknął drzwi i z pistoletami w ręku zszedł po schodach z takim spokojem, jakby go na dole czekało śniadanie.

Udali się z Marianem do stajni, sami osiodłali konie i ruszyli w drogę. Mariano, rzuciwszy wzrokiem na dom, ujrzał rotmistrza stojącego w oknie swego pokoju.

— Rotmistrz nas obserwuje — powiedział.

— Jak sądzisz, o czym on teraz myśli?

Od jakiegoś czasu obaj przyjaciele mówili sobie ty.

— Chyba o tym, że teraz już im się nie wymkniesz. Jeżeli nie jeden, to drugi cię powali. Porucznik jest podobno świetnym strzelcem. Rozmawiał wczoraj z rotmistrem tak beztrósko i swobodnie, jakby niczego się nie bał.

— Ten brak obawy ma inne podstawy aniżeli sądzisz. Obaj mniemają, że do pojedynku wcale nie dojdzie.

— Ach, tak! Dlaczego?

— Ponieważ są pewni, że jeszcze przed pojedynkiem zostaniemy zabici.

— Nie rozumiem.

— Zaraz zrozumiesz wszystko. Słuchaj. Opowiedział dokładnie przyjacielowi o wynikach swojego śledztwa. Mariano był przerażony.

— A jeżeli ten zbój ucieknie z twego pokoju? — zapytał.

— Zakneblowałem i związałem go tak mocno, że ledwie oddycha. Chyba nie zdoła wzywać pomocy. Ale nawet gdyby ktoś spośród mieszkańców hacjendy usłyszał jego jęki, nie uwolni go i nie wypuści. Znają mnie przecież i wiedzą, że bez powodu nie więziłbym człowieka.

— Co zrobimy z jego towarzyszami?

— Odnajdziemy ich zaraz po pojedynku przy pomocy kilku vaquerów.

Wkrótce po przybyciu Sternaua i Mariana na miejscu spotkania zjawili się również trzej oficerowie. Obie strony powitały się ceremonialnymi ukłonami. Dwaj przyjaciele z satysfakcją obserwowali rotmistrza, który raz po raz rozglądał się dokoła, jakby chciał przedrzeć się wzrokiem przez zarośla i dojrzeć swego sprzymierzeńca. Sekundanci odbyli jeszcze krótką rozmowę. Sekundant oficerów przyniósł Sternauowi szablę, ponieważ doktor nie miał tej broni. Utartym zwyczajem zaproponował pogodzenie się, na co rotmistrz odparł wyniośle:

— Ani słowa więcej. Przeciwnik mój domagał się, aby uznać rzecz za załatwioną honorowo dopiero wtedy, gdy jeden z nas będzie musiał wskutek rany złożyć broń. Przyjąłem ten warunek i nie mam zamiaru od niego odstępować.

— A pan, senior Sternau? — zapytał sekundant.

— I ja obstawiam przy nim.

Gdy Sternau otrzymał szablę i gdy już stanął naprzeciw rotmistrza, zapytał jego sekundanta:

— Czy mogę jeszcze powiedzieć kilka słów? — Proszę.

— Człowiek, przed którym stoję, oczekuje z pewnością, że padną dwa strzały albo z góry, albo z dołu, zza krzaków. Jeden ma trafić mnie, drugi mego sekundanta. Morderca jest przekupiony i dziś o północy ma otrzymać przy ladrillos zapłatę za podwójne zabójstwo.

Oficer zrobił krok do tyłu i zawołał z gniewem:

— Senior, obrażasz nas! To niegodne pomówienie!

— Nie, to szczerą prawdą — powiedział Sternau z lodowatym spokojem. — Niech pan popatrzy na swego towarzysza, na seniora rotmistrza. Niech pan przypatrzy się temu kawalerowi. Czy nie zbladł ze strachu? Czy nie widzi pan, jak trzęsie mu się ręka? Jak drżą jego wargi? Czy tak wygląda człowiek nie poczuwający się do zbrodni?

Sekundant spojrział na swego pobladłego przełożonego i rzekł:

— O, Dios! To prawda, pan przecież drży, rotmistrzu.

— On kłamie — wyjąkał Verdoja.

— Nawet głos mu drży — Sternau był bezlitosny. — Strach mu z oczu patrzy. No, jazda, zaczynamy tę komedię!

Rotmistrz się opamiętał.

— Tak, zaczynamy — powtórzył, nacierając na Sternaua.

— Nie tak szybko! — zawołał doktor, potężnym ciosem wytrącając szablę z rąk przeciwnika. — Jeszcze sekundanci nie stoją obok nas po lewicy, jeszcze znak do rozpoczęcia pojedynku nie dany. Proszę trzymać się przepisów, w przeciwnym razie zamiast szabli będę musiał użyć pierwszego lepszego pręta.

Verdoja wziął do ręki szablę. Kiedy sekundanci dali odpowiedni znak, rozpoczęła się walka. Rotmistrz rzucił się na doktora w dzikiej pasji, ale ten stał spokojnie, z łatwością parując każde natarcie. Nagle oczy jego zabłyśły: potężne uderzenie dosięgło rotmistrza, po czym błyskawicznym ruchem włożył szablę do pochwy. Verdoja wypuścił z rąk klingę i ryknął:

— O, ja nieszczęśliwy, moja ręka!

Obok szabli leżały na ziemi cztery palce rotmistrza, które odciął Sternau. Doktor zwrócił się do sekundanta:

— Ten człowiek już nigdy prawą ręką nie dotknie żadnej kobiety wbrew jej woli.

Verdoja wyciągnął okaleczoną dłoń i zawołał:

— Jesteś wcielonym diabłem, ale poskromię cię jeszcze!

Sekundant podszedł do niego wraz z porucznikiem Parderem. Starali się uspokoić go, zatamować krew. Rotmistrz półgłosem złorzeczył Sternauowi. Doktor udawał, że tego nie słyszy.

Po założeniu opatrunku Verdoja zwrócił się do porucznika Pardera:

— Jeżeli pan zastrzeli tego psa, daruję panu cały dług karciany.

Pardero nawet nie zareagował. Był tak samo błydy jak przedtem jego przełożony. Przyglądał się z trwogą sekundantom, którzy odmierzali odległość.

Oba dwururkowe pistolety zostały dokładnie zbadane i nabite. Przeciwnicy przystąpili do wyboru broni, po czym stanęli naprzeciw siebie. Odległość między nimi wynosiła trzy kroki. Rotmistrz, porucznik i Mariano stali z boku.

Sekundant Pardera podniósł rękę i liczył:

— Raz...

Prawice Pardera i Sternaua uniosły się w górę.

— Dwa...

Lufy pistoletów skierowane zostały w pierś przeciwnika. Ręka porucznika Pardera zaczęła drżeć, zacisnął zęby i przewyciężając to drżenie, spojrział na Sternaua. Koniecznie musi trafić go w serce.

Z odległości trzech kroków nie może być mowy o chybieniu. To przekonanie wróciło mu pewność siebie. Sternau nie spuszczał wzroku z oczu Pardera i uśmiechnął się, świadomy swej przewagi.

— Trzy...

Sternau błyskawicznie skierował pistolet ku broni porucznika. Padły dwa strzały. Jedna z luf pistoletu Pardera została trafiona. Natychmiast strzelił po raz drugi. Porucznik krzyknął przeraźliwie/jego pistolet upadł na ziemię. Równocześnie rozległ się jęk rotmistrza.

— Moja ręka! — wrzeszczał porucznik.

— Jestem ranny! — wtórował mu Verdoja.

— Nie może być! — sekundant podbiegł do niego.

— Ale to prawda — ze spokojem powiedział Sternau. — Senior Padero nie ma prawej dłoni.

Moja pierwsza kula wymierzona była w lufch k jego pistoletu, odrzuciła ją i poszła w bok wraz z jego kulą. Druga zaś moja kula roztrzaskała mu rękę. W ten sposób jego kula ominęła mnie, trafiając w ramię rotmistrza. Kto się chce pojedynkować na pistolety, ten musi mieć pojęcie o strzelaniu. Kto zaś ma odwagę obrażać kobiety, ten powinien również mieć odwagę, by ponieść konsekwencje. Mam zwyczaj pozbawiać takich ludzi prawej ręki. Adios, seniores.

Włożywszy za pas oba pistolety, podszedł do swego konia i odjechał w towarzystwie Mariana. Trzej oficerowie pozostali na miejscu pojedynku. Padero miał zmiażdżoną dłoń. Verdoja kazał sobie rozerwać rękaw koszuli, by można było opatrzyć świeżą ranę. Obaj miotali przekleństwa w kierunku odjeżdżającego Sternaua. Doktor i Mariano śpieszyli ku ladrillos, aby stamtąd po śladach schwytanego przez Sternaua przywódcy dotrzeć do obozu bandytów. Z pastwisk zabrali ze sobą kilku vaquerów. Wyraźne jeszcze ślady wiodły do położonej w górach przesieki leśnej. Po obezwładnieniu warty udało się im schwycić bez przelewu krwi pięciu zaspanych zbójów. Przywiązali ich do koni i pogalopowali w kierunku hacjendy. Jeńcy byli przytroczeni do zwierząt tak mocno, że ledwie mogli się poruszać. Po drodze Sternau odkneblował im usta.

— Żeby mi nikt nie pisnął ani słowa, inaczej kula w łeb — powiedział ostro. — Uwolnię wam nawet ręce, ale pod warunkiem, że będziecie jechać tuż przed nami. Droga prowadzi do hacjendy del Erina.

Rozluźnił im więzy krępujące ręce, więc mogli trzymać cugle. Przywiązani byli teraz do koni tylko sznurami przeciągniętymi od jednej nogi do drugiej pod brzuchem wierzchowców. Sternau nie powodował się tu litością, ale zwykłą ostrożnością. Nie chciał, by kwaterujący w hacjendzie żołnierze spostrzegli, że przybywa z jeńcami. Byłoby mu nie na rękę, gdyby rotmistrz dowiedział się o tym za wcześnie. Teraz gdy jeńcy trzymali wodze w rękach, żołnierze mogli przypuszczać, że są to przygodni towarzysze podróży. Z tych samych względów odesłał vaquerów do stad.

Pędzili do hacjendy w pełnym galopie. Brama była otwarta, wjechali więc na dziedziniec, nie zauważeni przez ludzi Juareza. Hacjendera, stojący przy głównym wejściu, zdumiał się, że wracają w tak licznym gronie i z jednym koniem bez jeźdźca.

— Nareszcie jesteście! — zawołał. — Szukaliśmy was, seniores. Czy sprowadzacie nam gości?

— To właściwie nie goście, a jeńcy — odparł Sternau. Hacjendero zapytał ze zdumieniem:

— Jeńcy? Jak to? Na Boga, czy znowu coś się wam przytrafiło?

— Dowie się pan o tym za chwilę. Ale, proszę, wskaż nam jakiś budynek, w którym można by tych ludzi umieścić tak, aby o ich obecności oficerowie nie mieli pojęcia.

Jeńcom znowu skrupowano *ręce*, odwiązano ich od koni i wepchnięto do budynku bez okien, którego drzwi zostały zamknięte tak dokładnie, że o ucieczce nie mogli nawet marzyć. Kawalerzyści nic nie zauważyli.

Obaj przyjaciele udali się teraz do jadalni na śniadanie. Zastali tam kapitana Ungera, Karię i

Emmę, która opuściła na chwilę swego rekonwalescenta. Sternau i Mariano opowiedzieli ostatnią przygodę. Pedro Arbellez nie miał dotychczas pojęcia o niemiłej przygodzie, która spotkała Emmę na dachu domu. Przeraził się nie na żarty. Mariano opowiedział zebrany przebieg pojedynku. Emma słuchała z pobladłą twarzą, a całe towarzystwo nie ukrywało podziwu dla Sternaua. Podziwowi temu towarzyszyła jednak obawa, że kwaterujący w folwarku żołnierze zechcą się zemścić na hacjendzie i jej mieszkańcach. Sternau starał się rozwiać tę obawę.

— Kawalerzyści — dowodził — pozostają przecież pod komendą Juareza, a ten prędzej czy później zostanie prezydentem. Żywi on dla pana sympatię, don Arbellez. Złożył jej dowody, oddając panu w dzierżawę hacjendę Vandaqua. O tym oficerowie muszą pamiętać. A zresztą, mamy przeciw nim bardzo groźną broń: jeńców, których teraz przesłuchamy. Człowiek, schwytyany przeze mnie wczoraj wieczorem, jest zamknięty w moim pokoju. Zaraz go tutaj sprowadzę.

Sternau znalazł jeńca w tej samej pozycji, w jakiej go zostawił. Twarz jego miała odcień sinawy, spod knebla wydobywało się ciche, żalosne rżenie, nie mógł bowiem swobodnie oddychać.

Sternau wyjął mu knebel, odwiązał go od łóżka, zdjął ramię z nóg, pozostawiając jedynie skrępowane ręce.

— Wstań — rozkazał. — Chcę z tobą pomówić. Jeniec podniósł się z dużym wysiłkiem, trudno mu było wyprostować zbolące członki. W miarę, jak głębiej oddychał, wracał mu naturalny kolor twarzy, oczy zaś traciły błędny wyraz. Obrzucił Sternaua wzrokiem dalekim od pokory i posłuszeństwa.

— Jak śmiałeś mnie schwytać? — rzekł. — Jestem wolnym Meksykaninem.

— Nie wystawiaj się na pośmiewisko. Widzisz chyba dobrze, że nim obecnie nie jesteś.

— Ale to nie z mojej winy. Żądam wolności i zadośćuczynienia.

— Obojętne mi zupełnie, czego żądasz. Co zaś otrzymasz, to się wkrótce okaże. Tylko nie przypuszczaj, że będę się z tobą ceregielił. No jazda, przede mną.

Wziął jeńca za rękę i pchnął przez drzwi. Meksykanin starał się trzymać prosto, ale ze skutkiem niezbyt pomyślnym, ponieważ krew, do niedawna jeszcze tamowana więzami, krążyła mu w żyłach leniwie. Gdy weszli do jadalni, zapytał:

— Co pan chce ze mną zrobić?

— Będziesz odpowiadać na moje pytania, oto wszystko — odparł Sternau. — Stań tutaj. Czy widzisz ten rewolwer? Przy najmniejszej próbie ucieczki zastrzelę cię bez wahania.

— Protestuję przeciw takiemu traktowaniu.

Doktor wzruszył lekceważąco ramionami. Usłyszawszy w tym momencie tętent, podszedł do okna. Ujrzał żołnierza, który właśnie zatrzymał się na spienionym koniu.

Był to z pewnością goniec z jakimiś rozkazami. Sternau zwrócił się do jeńca:

— Czeka cię przesłuchanie, które rozstrzygnie o twoim losie. Mam nadzieję, że będziesz odpowiadał szczerze. Wynajęto cię, abyś zamordował kilku spośród nas. Podśledzałem dwie twoje rozmowy: tę o północy pod żywopłotem i tę, którą prowadziłeś pod ruinami. Byłem także obok kamienia i przeczytałem kartkę, którą rotmistrz tam złożył dla ciebie i którą masz jeszcze w kieszeni. Wiem również, że polowałeś na mnie z ukrycia w Wąwozie Tygrysa. Jesteś mordercą i każę cię w ciągu dziesięciu minut powiesić, o ile nie zechcesz wykupić się od śmierci bezwzględną szczerością.

Słowa te były wypowiedziane tak surowym tonem, że bandyta przeraził się nie na żarty. Nie miał już wątpliwości, że Sternau wie o wszystkim. Spokorniał więc i rzekł ponuro:

— Jeżeli mnie pan zabije, zostanę pomszczony, tego można być pewnym.

— Kto będzie mścicielem?

— Mam jeszcze towarzyszy.

— Phi! Czekali na ciebie w lesie, jak oświadczyłeś rotmistrzowi. Dziś byliśmy tam i zabraliśmy ich do niewoli. Wkrótce ujrzysz tu swoich kamratów. Meksykanin zbladł.

— Nie wierzę w to. Mówi pan nieprawdę, by mnie zastraszyć.

— Nie jesteś człowiekiem, przed którym mógłbym poniżyć się do kłamstwa. Podejdź do okna i spójrz na dziedziniec. Konie ich stoją obok twojego.

Bandyta przekonał się naocznie, że Sternau nie kłamie. Mimo to jeszcze nie rezygnował.

— Rotmistrz mnie pomści.

Sternau zobaczył przez okno trzech jeźdźców, którzy od zachodu podążali ku obozowi. Poznał ich i zawołał:

— Jeszcze raz spójrz przez okno! Czy widzisz tych jeźdźców? To rotmistrz i dwaj porucznicy. Gdy podjadą bliżej, zobaczysz, że Verdoja i Pardoero mają obwiązane ręce. Biłem się dziś z nimi i pozbawiłem obydwu prawej ręki. Oni ci nie pomogą.

Jeniec był przerażony coraz bardziej. Reszta obecnych również podeszła do okna, by obserwować przybywających. Jechali kłusem. Wkrótce znaleźli się na dziedzińcu i zsiadli z koni. Po kilku minutach rozległy się ich kroki, gdy rozchodzili się do swych pokojów.

— No i cóż, spodziewasz się jeszcze pomocy ze strony rotmistrza?

Zapytany milczał. Nie chciał powiedzieć wprost, że gotów jest zrezygnować z dotychczasowego uporu.

— Odpowiadaj teraz — rozkazał Sternau. — Czy przyznajesz, że niejaki Cortejo wynajął cię do śledzenia mnie i moich towarzyszy?

— Tak, przyznaję.

— A gdy się to nie udało, gdy powybyjałem waszych ludzi w Wąwozie Tygrysa, czy rotmistrz Verdoja nie zobowiązał ciebie i twoich, którzy uszli cało, do zastrzelenia nas?

— To prawda.

— Dlatego też nastawiałeś na moje życie?

— To nie ja, to tamci dwaj zamordowani w wąwozie.

— Nie zwalaj na nich, byłeś przecież ich przywódcą. Spotykałeś się później z rotmistrzem, a wczoraj Verdoja ci polecił, abyś strzelił do mnie i do seniora Mariana w chwili, gdy stanę przed rotmistrzem gotowy do pojedynku.

— Tak jest — powiedział Meksykanin półgłosem. Choć czuł, że kłamstwo go nie uratuje, dodał na wszelki wypadek: — Może mi pan jednak wierzyć, senior Sternau, że w żadnym wypadku nie zastrzeliłbym was.

— Ach tak? To co byś zrobił?

— Wyszedłbym z ukrycia i oświadczył, jakie rotmistrz ma wobec was zamiary.

— Opowiadaj to naiwnym. Zobaczysz teraz swych towarzyszy. Mariano, bądź łaskaw sprowadzić tych ludzi.

Mariano wrócił za chwilę z jeńcami. Przerazili się ogromnie na widok przywódcy. Sternauowi łatwo więc przyszło zmusić ich do wyjawienia prawdy. Dowiedziawszy się, że współnik wyznał już wszystko, nie chcieli pogarszać swojej sytuacji przez łgarstwo.

— Jesteście mordercami — rzekł Sternau. — Powinniście wszyscy wisieć, ale będę miał litość nad wami, jeżeli spełnicie pewien warunek.

— Jaki? — zapytał jeden z nich.

— Musicie powtórzyć wasze wyznanie w obecności rotmistrza. Czy godzicie się na to?

Popatrzyli jeden na drugiego.

— Jeżeli tego nie uczynicie — dodał Sternau — stanie się, jak powiedziałem: każę was

bezzwłocznie powiesić. Nie myślcie, że to tylko groźba.

— Wisieć z powodu rotmistrza nie mamy ochoty. Wyznamy w jego obecności całą prawdę.

— Dobrze, daruję wam życie. A teraz was zamknę. Nie starajcie się uwolnić. Pierwszą bowiem próbę ucieczki przypłacicie gardłem.

Zamknięto ich wszystkich razem w jednym budynku.

SĄD HONOROWY

Po odjeździe Sternaua trzej oficerowie pozostali dłuższy czas na miejscu pojedynku. Zmusiły ich do tego rany rotmistrza i porucznika Pardera. Porucznik miał rękę zupełnie zdruzgotaną, ale krwawienie nie było zbyt silne; zwyczajny opatrunek chwilowo wystarczył. Inaczej rzecz się miała z rotmistrzem. Kikuty palców krwawiły obficie, a rana postrzałowa ramienia na pozór nie wyglądała groźnie, ale zdaje się, że postrzał uszkodził żyłę. Tamowanie krwi szło więc opornie. Podczas opatrunków mówiono niewiele, a nieliczne słowa, które padały, były gorzkie i zjadliwe.

— Kto by przypuszczał... — zaczął Pardo.

— Tak, nie spodziewałem się, że będzie pan strzelał do mnie — przerwał mu rotmistrz.

— Ja? Słyszał pan przecież, co się stało. Ten Sternau jest fechtmistrem i strzelcem, jakiego chyba już nigdy nie spotkamy.

— No, i takiego strzelca jak pan też nie spotkamy.

— Niechże się panowie nie sprzeczą — wtrącił sekundant, który sam musiał obu opatrywać. — Zręczność Sternaua we władaniu szablą i strzelaniu jest zadziwiająca, ale jeszcze bardziej zadziwiający były jego słowa.

— To prawda — rzekł Pardo. — Oskarżał pana, panie rotmistrzu, o wynajęcie mordercy, który miał zastrzelić doktora wraz z jego sekundantem.

— Nikczemność — mruknął Verdoja i... zaczerwienił się gwałtownie.

Sekundant obrzucił go badawczym spojrzeniem. Był to człowiek honoru i nie podejrzewał swego zwierzchnika o tak niegodziwe zamiary. Teraz jednak zaczął przypuszczać, że Sternau nie obwiniał go bezpodstawnie, więc zapytał:

— Co mogłoby skłonić Sternaua do tego rodzaju zarzutu?

— Jego nikczemność.

— Nie sądzę. Sternau moim zdaniem nie jest zdolny do takiej podłości.

— Więc może był to źle inscenizowany efekt teatralny, którym chciał spotęgować wrażenie.

— Matava-se nie jest aktorem. Verdoja niecierpliwie tupnął nogą:

— Milczeć! Nie chce senior chyba powiedzieć, że wierzy słowom tego człowieka?

— Sformułował jasno i otwarcie pewne oskarżenie, którego pan, rotmistrzu, nie obalił — odparł ze spokojem porucznik. — Powstrzymuję się oczywiście od wyrażenia własnego sądu, dopóki oskarżyciel nie przedłoży dowodów.

— Radzę tak postąpić.

Sekundant podniósł głowę znad opatrunku i ściągnąwszy brwi, zapytał:

— Czy to groźba, rotmistrzu?

— Tak jest.

Porucznik odsunął się od niego.

— Wypraszam to sobie kategorycznie. W służbie jest senior moim zwierzchnikiem, ale w sprawach honorowych jesteśmy sobie równi. Nie pojmuję pańskiego zachowania wobec mnie. Oświadczam panu, że natychmiast po powrocie będę mówił z doktorem. Oskarżył pana o zamiar skrytobójczego morderstwa. Jeżeli oskarżenie jest niesłuszne, musi je odwołać i dać satysfakcję, jeżeli miało podstawy, wyciągnę odpowiednie konsekwencje.

— Zabraniam panu rozmawiać z tym człowiekiem!

— Może mi senior rozkazywać wyłącznie w sprawach służbowych, nigdy w osobistych. Jeżeli mam opatrzeć panu rany, proszę zamilczeć.

Rotmistrz, chcąc nie chcąc, spełnił to życzenie i wyciągnął do sekundanta ramię. Opatrywanie

trwało długo. Podczas tego, między rotmistrzem a porucznikiem Parderem nastąpiła wymiana spojrzeń; rotmistrzowi zaświtała nadzieja, że Pardero będzie jego sprzymierzeńcem.

Nareszcie dosiedli koni, aby wrócić do hacjendy. Wśród kawalerzystów był pewien niedouczony medyk, któremu lekkomyślny tryb życia nie pozwolił ukończyć studiów. Jako lekarz szwadronu właściwie powinien był asystować przy pojedynku. Ale Sternau nie chciał lekarza, a rotmistrz był tak przekonany, że zamach się uda, że nie zawiadomił go nawet o pojedynku. Za to teraz, gdy tylko przybyli do hacjendy, musieli zwrócić się do niego o pomoc. Przy tej sposobności dowiedzieli się, że przybył goniec od Juareza z rozkazem, aby natychmiast wyruszać do Monclovy, ponieważ wybuchło tam powstanie przeciw rządowi. Verdoja, wezwawszy gońca do siebie, przyjął od niego instrukcje wodza.

— Czy będę mógł jechać konno? — zapytał rotmistrz lekarza szwadronu.

— Tak, to nie nadweręża ramienia. Obawiać się tylko można gorączki, ale przyłożyłem do rany zioła i przypuszczam, że pomogą.

— A porucznik Pardero?

— Rana jego jest groźniejsza od pańskiej, ale również i on będzie mógł jechać konno. W każdym razie ani porucznik, ani senior nie będziecie już mogli włączyć szabli.

— Będę się bił lewą ręką. Jutro rano ruszamy. Kiedy Verdoja rozmawiał z lekarzem, porucznik, który sekundował przy pojedynku, wierny swemu postanowieniu, udał się do Sternaua. Choć doktor wyczuł, że jest to człowiek honoru, odmówił mu na razie wyjaśnień.

— Muszę jednak wszystko wiedzieć — upierał się porucznik. — Przybył goniec, który żąda, byśmy jak najprędzej stąd wyruszyli. Juarez posyła nas do Monclovy. Jeżeli pańskie zarzuty są słuszne, nie będę dłużej służył pod rotmistrzem i zmuszę go do ustąpienia ze stanowiska. To samo odnosi się do porucznika Pardera, przypuszczam bowiem, że obaj są w zмовie.

— Mimo to sekundował pan tym ludziom.

— Co miałem robić? Nie było nikogo oprócz mnie. Zresztą o szczegółach incydentu między panami dowiedziałem się dopiero w drodze na miejsce pojedynku. Teraz senior rozumie, że muszę znać prawdę.

— Pozna ją pan niedługo. Przypuszczam, że wkrótce rotmistrz zechce porozumieć się z tym, kto miał dokonać morderstwa. Zamierzam go śledzić, a pan będzie mi towarzyszył. Wtedy przekona się senior najlepiej o prawdziwości moich twierdzeń. Niech się pan niepostrzeżenie przygotuje do przejażdżki konnej. Wkrótce wyruszymy.

Sprawdziły się przypuszczenia Sternaua. Ledwie medyk pożegnał rannych, Verdoja wraz z Parderem wyjechał z hacjendy.

Pardero był typowym Meksykaninem. Lekkomysłny i namiętny, ponad wszystko stawiał spełnienie swych pragnień. Był biedakiem, ale nie chciał nim zostać na zawsze, marzył o bogactwie, które mogłoby zaspokoić jego zachcianki. Na drodze do fortuny nie cofnąłby się przed niczym. Niestety, dotychczas nie trafiała się szczęśliwa okazja. Nie miał nic prócz długów; jednym z groźnych wierzycieli był rotmistrz, do którego przegrał sporą sumę. Tę okoliczność chciał Verdoja wykorzystać.

Szukał sprzymierzeńca, który byłby od niego zależny, a nikt nie nadawał się do tego lepiej od porucznika Pardera. Zabrał go więc teraz, by wtajemniczyć w swoje plany i pozyskać. Nie wiedząc, że bandyci, których wynajęli, zostali schwytani, nie mógł zrozumieć, w jaki sposób Sternau dowiedział się o jego zbrodniczym zamiarze. Postanowił zostawić hersztowi pod kamieniem drugą kartkę z wiadomością, że chce się z nim spotkać o północy. Przypuszczając, że Sternau go śledzi, jechał drogą okrężną, jeszcze dalszą niż poprzedniego dnia.

— Dlaczego wyruszamy do Monclovy dopiero jutro? — zapytał podczas jazdy Pardo. — Według rozkazu powinniśmy przecież jechać natychmiast.

— Ale obaj mamy tu jeszcze coś do załatwienia — odparł Verdoja.

— Obaj? — zdziwił się Pardo.

— Tak, chyba że chce senior, by ten Sternau, który zmiążdżył pańską rękę, szydził z nas bezkarnie.

— Ach, gdybym go mógł dostać w swoje ręce! — zawołał porucznik.

— To się nie uda. Sprzymierzmy się w tej walce, poruczniku — rotmistrz wyciągnął do Parda lewą rękę.

Ten odwzajemnił uścisk.

— Ale jak się do niego weźmiemy? — zapytał.

— To już moja sprawa. Mam ponadto jeszcze inne plany, korzystne nie tylko dla mnie, ale i dla pana.

— Mam nadzieję, że się o nich dowiem.

— Są nieco delikatnej natury. Nie wiem zresztą, czy we wszystkich okolicznościach mogę liczyć na pańską dyskrecję.

— Ależ bezwzględnie, przysięgam.

— Wierzę panu. A teraz proszę o szczerą. Co senior sądzi o oskarżeniu, jakie wysunął przeciwko mnie Sternau?

— Hm... — Pardo patrzył w bok.

— No, niech pan mówi wprost.

— Jeżeli taki rozkaz, przyznam, że zachowanie pana w tej sprawie było nie dość przekonujące.

— Słusznie. Bo Sternau miał rację. To wyznanie stropiło porucznika.

— A więc mówił prawdę? — rzekł zdumiony.

— Tak. I gdyby zamach się udał, obaj nie byłibyśmy teraz kalekami, a jego wraz z sekundantem wzięliby diabli. Muszę seniorowi oświadczyć, że mam od bardzo wysoko postawionej i wpływowej osoby rozkaz unieszkodliwienia Sternaua i jego towarzyszy.

Ostatnie słowa były rzecz jasna czczym wymysłem. Liczył, że porucznik da się na to nabrać.

— A to niespodzianka! — ucieszył się Pardo. — Czy mogę znać nazwisko tej osoby?

— Jeszcze nie teraz. Sternau to nie byle kto. Od jego usunięcia zależy wynik pewnych wielkich planów. Ci więc, którzy będą przy tym pomocni, zostaną hojnie wynagrodzeni. Bądź pan pewien, że nie narażałbym się na niebezpieczeństwo, gdybym nie wiedział, iż otwieram sobie widoki na świetlaną przyszłość.

Rotmistrz kłamał z premedytacją. Udając, że działa z czyjegoś polecenia, chciał się oczyścić z odpowiedzialności za haniebne czyny. Mówiąc zaś o sowitej zapłacie, zapewniał sobie współudział Parda.

— Czy senior sądzi, że i ja otrzymam pieniądze, gdy będę panu pomagał?

— Oczywiście. Nie tylko pieniądze. Przede wszystkim dostaniemy szybko awans, a także pokaźną sumkę pesos, po drugie będziemy mieć satysfakcję z zemsty nad tymi łotrami. Mogę więc liczyć na pana, poruczniku?

— Tak, panie rotmistrzu. Jestem do dyspozycji. Proszę mi tylko powiedzieć, co mam robić.

— Tego sam jeszcze nie wiem. Naprzód muszę się dowiedzieć, dlaczego mój zaufany nie zjawił się w czasie pojedynku.

— Czy spotkamy się z nim teraz? .

— Nie. Wpierw przekazemy mu wiadomość, że chcę rozmówić się z nim dziś wieczorem. Kiedy dowiem się, co go zatrzymało, zaczniemy działać. Oto przyczyna, dla której wyruszymy do Monclowy dopiero jutro.

— Ale w jaki sposób Sternau przejrzał pańskie zamiary? Ten zaufany człowiek chyba nie zdradził pana?

— Nie, tego jestem pewien. Raczej przypuszczam, że Sternau nas podsłuchał. Musiał być niedaleko miejsca, w którym rozmawialiśmy. Dzisiejsze spotkanie wyznaczę więc w innym miejscu. No, jedźmy dalej.

Spięli konie. Kiedy tylko obaj oficerowie wyruszyli z hacjendy, Sternau i drugi porucznik zrobili to samo. Jechali tą drogą, którą doktor obrał wczoraj. Ukryli konie również w tym samym miejscu. Porucznik wdrapał się na cedr, a Sternau schował się w zaroślach. Po niedługim czasie dobiegł ich tętent kopyt. Verdoja i Padero zatrzymali się opodal i zsiadli z koni.

Rotmistrz odsunął kamień i podłożył kawałek papieru. Rozejrzawszy się uważnie, czy nikt ich nie śledzi, odjechali czym prędzej. Teraz Sternau i porucznik opuścili kryjówkę. Sternau wyciągnął kartkę.

— Padero był z nim — rzekł porucznik — a więc to jego sprzymierzeniec. Co jest na tej kartce, senior?

Sternau podał mu ją. Porucznik czytał:

Pozostań w pobliżu tego miejsca. O północy spotkamy się tutaj, przy kamieniu. Będziesz się musiał wytłumaczyć.

Słowa były niewyraźne i niezgrabne, gdyż Verdoja pisał lewą ręką. I tym razem nie podpisał się.

— Ta wiadomość — spytał porucznik — jest przeznaczona dla tego, kto miał zastrzelić pana i seniora Mariana?

— Tak.

— Czy znajdzie ją?

— Nie.

— A więc nie ma pan zamiaru położyć jej znowu pod kamieniem? Ja na pańskim miejscu uczyniłbym to i podsłuchał o północy opryszków.

— Ten człowiek nie przyjdzie. Uwięziłem go w hacjendzie. Chodźmy do koni! Ponieważ widział pan obu szubrawców na własne oczy, opowiem panu wszystko w drodze powrotnej.

Kiedy Sternau skończył, porucznik zapytał:

— Co pan ma zamiar zrobić z tymi ludźmi godnymi pogardy?

— Zdemaskuję rotmistrza i jego sprzymierzeńca.

— Czy będę mógł w tym uczestniczyć?

— Owszem. Bardzo proszę, by zechciał pan wystąpić jako mój świadek.

— A co będzie z jeńcami?

— Obiecałem darować im życie, jeżeli w obecności rotmistrza złożą szczere wyznanie. Muszę dotrzymać słowa.

— To nieostrożne. Te łotry zasłużyły na stryczek. Jeżeli senior puści ich wolno, nigdy nie będzie pewny własnego życia. — Ale nigdy nie złamałem słowa i nie złamię go teraz. A zresztą może moja wyrozumiałość odniesie dobry skutek.

— Nie sądzę. Z takimi ludźmi łagodnością nic się nie wskóra. Uważają ją jedynie za przejaw słabego charakteru.

Gdy przybyli do hacjendy, sporo czasu upłynęło już od powrotu rotmistrza i porucznika. Verdoja

zobaczywszy nadjeżdżających zachmurzył się. Podszedł do oficera i zapytał ostrym tonem:

— Gdzie pan był?

— Na spacerze.

— Czy miał senior moje pozwolenie?

— A czy jest ono potrzebne?

— Oczywiście, nie jesteśmy przecież na stałej kwaterze, ale w marszu.

— Ja sędzę, panie rotmistrzu, że jesteśmy w obozie, nie zaś w marszu.

— To zbyt uczynna dyskusja, poruczniku. Ma senior zawsze prosić o pozwolenie, gdy się chce oddalić.

Wtedy oficer zaczerwienił się ze złości, gdyż stojący wkoło żołnierze przysłuchiwali się tej wymianie zdań.

— Byłoby to moim obowiązkiem — powiedział — gdybym miał zamiar opuścić obóz choćby na krótko w czasie poświęconym zajęciom służbowym. Tymczasem pozwoliłem sobie na taką samą przejażdżkę konną, jak pan rotmistrz i porucznik Pardo.

Verdoja wyprostował się i zawołał:

— Poruczniku, czy pan wie, co to opór władzy?

— Wiem równie dobrze jak senior, ale o oporze władzy nie może tu być mowy. Chodzi tylko o zwyczajną różnicę zdań, którą można wyjaśnić w sposób spokojny i godny. A przy tym wie pan również, że oficer nie powinien pozwolić na to, by go karcono w obecności podwładnych.

Oczy rotmistrza zabłysły gniewem. Zrobił krok naprzód, wyciągnął rękę i rozkazał:

— Proszę oddać szablę, poruczniku. Natychmiast!

Porucznik był wprawdzie młody, ale odważny i w dodatku bardzo opanowany. Powiedział spokojnie:

— Mam oddać szablę? Nie ma jej pan prawa żądać.

— Jestem pańskim zwierzchnikiem!

— Był pan nim. Teraz jest pan po prostu szubrawcem i byłoby dla mnie największym upokorzeniem, gdyby pan dotknął mojej szabli.

Gdy żołnierze usłyszeli tę strasliwą obelgę, wypowiedzianą podniesionym głosem, otoczyli oficerów kołem. Pardo był tam również. Sternau, który siedział na koniu obok odważnego porucznika, został wraz z trzema oficerami zamknięty w pierścieniu żołnierzy.

Verdoja zaniemówił w pierwszej chwili, a potem ryknął:

— Odwołać, odwołać natychmiast!

— Ja mam odwoływać? Nigdy! Mogę tylko powtórzyć raz jeszcze.

Verdoja miał już zareagować czynnie, gdy nagle Sternau spiął konia ostrogami. Zbliżywszy się do rotmistrza, zadał mu pięścią cios tak silny, iż ten padł na ziemię.

— Jak pan śmie?! — zawołał Pardo.

— Brudzę sobie po prostu rękę, uderzając tego człowieka.

— Oświadczam, że i seniora, poruczniku, uważam za szubrawca — krzyczał młody porucznik — i że splamiłoby mnie pańskie dotknięcie!

Pardo poblekł ze złości i strachu.

— Pan oszalał chyba, pan bredzi!

— To chyba pan stracił zmysły!

— Proszę pamiętać, że jestem pańskim przełożonym.

— Był pan nim. Ani chwili dłużej nie zamierzam służyć pod pańskimi rozkazami!

— To nie takie proste — uśmiechnął się pogardliwie Pardo. — Naprzód każę pana aresztować

za niesubordynację. Seniora Sternaua również za uszkodzenie ciała.

— Tak pan sądzi? — podniósł głos Sternau. — Taki robak śmiałby mnie aresztować? Niech pan podejdzie!

Pardero stał w pobliżu. Była to nieostrożność, Sternau bowiem chwycił go za kołnierz, poderwał raptownym ruchem w górę, po czym grzmotnął nim o ziemię z taką siłą, że Pardero nie mógł się podnieść. Tego już było żołnierzom za wiele. Stary wachmistrz zapytał:

— Panie poruczniku, czy nie zechce nam senior powiedzieć, co to wszystko ma znaczyć?

Zapytany skinął głową.

— Rondoso, kogo z oficerów lubicie najbardziej?

— Ależ oczywiście pana, poruczniku. Gdyby było inaczej, nie patrzylibyśmy z takim spokojem na to, jak obraził pan rotmistrza i porucznika Pardera. Tym bardziej nie dopuścilibyśmy do obrazy ich przez cywila.

— A więc wiedz, że ci dwaj postąpili nikczemnie. Skumali się z rabusiami i mordercami, aby zabijać dzielnych ludzi i obrażać uczciwe kobiety. Dziś rano pojedynkowali się z doktorem Sternauem, w rezultacie obaj stracili prawice. Stało się coś w rodzaju sądu bożego. Właśnie przed chwilą z doktorem Sternauem śledziłem ich w lesie. Niegodni są dowodzić dzielnymi żołnierzami meksykańskimi. Nie będę dłużej służył pod ich rozkazami.

— Caramba! W takim razie i ja rezygnuję, panie poruczniku — powiedział stary wachmistrz.

— Nie, Rondoso. Zbadamy całą sprawę i zdecydujemy, kto ma wystąpić z wojska: oni czy ja, dobrze?

— Dobrze, panie poruczniku — odparł wachmistrz, gładząc bródkę. — Jeżeli pan porucznik wystąpi, występuję razem z panem i sądzę, że cały szwadron się rozleci. Ale jeżeli ci dwaj zostaną wyrzuceni, wtedy pan, poruczniku, będzie naszym rotmistrzem.

— A ty zostaniesz porucznikiem. I tak dalej, w kolejności.

— A więc zwołujemy sąd wojenny?

— Nie, przestępstwa ich nie są natury wojskowej. Podlegają raczej sądowi honorowemu.

— Zgoda. Czy odbierzemy im broń?

— Oczywiście.

— A czy ich zwięzać?

— Nie. Tymczasem jako aresztowanych umieścimy ich pod strażą w jednym z pokojów hacjendy. Sąd odbędzie się na dziedzińcu, aby cały szwadron mógł słuchać rozprawy. Rotmistrz i porucznik są jeszcze nieprzytomni. Każ ich zamknąć i trzymać pod strażą. Później wrócisz do mnie i będziesz obecny przy wstępnym śledztwie.

Porucznik miał szczęście, że podwładni tak go lubili, inaczej awantura mogła się dla niego skończyć tragicznie. Stał teraz wraz ze Sternauem pośród żołnierzy. Na jego polecenie odebrano broń zemdlonym, po czym zaniesiono ich do jednego z małych pokoi; przy oknie i drzwiach postawiono warty.

Teraz porucznik i Sternau udali się na górę, aby zawiadomić o zajściu domowników zebranych w salonie. Mariano radził, aby sąd honorowy odbył się w obecności mieszkańców hacjendy i by obu jeńców eskortowało paru silnych vaquerów. Propozycja została przyjęta, po czym przystąpiono do przygotowania ceremonii procesu.

Kiedy stary wachmistrz wrócił do porucznika, poszli razem do schwytanych Meksykanów. Jeńcy powtórzyli swe poprzednie zeznania. Tymczasem na dziedzińcu ustawiono krzesła i ławy, na których mieli zasiąść uczestnicy sądu honorowego. Przy jednym ze stołów zajął miejsce porucznik, obok niego wachmistrz, na prawo zaś i lewo podoficerowie. Był to skład sędziowski.

Przy drugim stole usiedli Sternau i Mariano, występujący w roli oskarżycieli, a naprzeciw nich Unger, Pedro Arbellez i obie panie w charakterze świadków. Wokół zgromadziło się audytorium złożone z żołnierzy, vaquerów i cibolerów. Wprowadzono rotmistrza Verdoja i porucznika Pardera. Trudno opisać, w jakim stanie się znajdowali. Nawet w najgorszych snach nie przypuszczali, że kiedykolwiek może ich spotkać takie upokorzenie. Pienili się ze złości i gdyby mieli obie sprawne ręce, z pewnością rozdarliby na kawałki czterech prowadzących ich vaquerów.

— Co to ma znaczyć?! — zawołał gniewnie Verdoja na widok zebranych. — Czego tu stoicie? — ryknął do żołnierzy. — Idźcie do diabła, psy!

— Niech się pan mityguje, senior Verdoja — powiedział porucznik, przewodniczący sądu. — Stoї pan przed nami jako oskarżony i los pana w znacznej mierze zależy od tego, jak się senior zachowa.

— Jako oskarżony? Kto mnie oskarża?

— Zaraz pan się dowie.

— Kto ma być moim sędzią?

— My, jak nas tu senior widzi. Verdoja zaczął szydzić:

— Czy jestem wśród obłąkanych? Moi żołnierze chcą mnie sądzić? Łotry, szubrawcy, precz stąd, do obozu! Każę was rozstrzelać!

Podniósł lewą rękę i zamierzył się na wachmistrza, ale poskromili go vaquerzy.

— Wysuwam wniosek, by związać oskarżonych, o ile natychmiast się nie uspokoją — zwrócił się Sternau do przewodniczącego.

— Przyjmuję wniosek — porucznik skinął głową.

— Spróbujcie tylko — krzyknął rotmistrz — a całą hacjendę zrównam z ziemią!

— Czy macie rzemienie i powrozy? — spytał vaquerów porucznik, nie zwracając uwagi na pogróżki rotmistrza.

— Mamy!

— Widzicie, seniores, że nie żartujemy — kontynuował przewodniczący. — Albo się nam podporządkujecie, albo zostanieie do tego zmuszeni.

— Mamy, się poddać?! — krzyknął Verdoja. — Co za przestępstwo popełniliśmy? Jak śmiecie stawiać pod sąd wojskowy swych przełożonych. To ja mogę oskarżać!

— Myli się pan. Nie jesteśmy sądem wojskowym lecz honorowym, który ma rozstrzygnąć, czy ludzie honoru mogą służyć pod pańskimi rozkazami.

Rotmistrz miał już odpowiedzieć jakąś nową obelgą, ale Pardero położył mu rękę na ramieniu i szepnął:

— Na Boga, spokojnie. W ten sposób daleko nie zajedziemy.

Rotmistrz opanował się i rzekł:

— Więc dobrze, zaczynajcie przedstawienie. Później się z wami rozprawię.

Nastąpiła cisza. Przerwał ją przewodniczący:

— Ma głos senior Sternau. Doktor podniósł się z miejsca.

— W imieniu obu obecnych tu pań oskarżam dwóch mężczyzn o sprzeczne z honorem postępowanie wobec bezbronnych kobiet. Ponadto oskarżam ich o usiłowanie morderstwa, którego mieli dokonać na mnie oraz na seniorach Marianie i Ungerze.

— Czy może pan przedłożyć dowody?

— Tak.

Porucznik zwrócił się do oskarżonych i zapytał:

— Co macie panowie do powiedzenia na ten temat?

— Oskarżenia są tak bezsensowne, że nie uważam, by były godne odpowiedzi — odparł Verdoja, a porucznik Pardero mu przytaknął.

— Dziękuję. Stanowisko panów upraszcza sprawę. Nad pierwszym zarzutem przejdźmy do porządku, gdyż oskarżeni nie odpierając go, przyznają tym samym, że jest prawdziwy. Drugi natomiast wymaga rozpatrzenia bardziej szczegółowego. Ponieważ oskarżeni i na ten zarzut nie chcieli odpowiedzieć, proszę pana, senior Sternau, o umotywowanie go.

Sternau przedstawił dokładnie całą rzecz, nie wspomniawszy jednak ani słowem, że ma bandytów pod kluczem i że będzie mógł użyć ich jako świadków. Zrelacjonował wszystko od chwili, gdy Bawole Czoło przestrzegł podróżnych przed zasadzką. Oświadczył, że zaczął coś podejrzewać już podczas wycieczki do Wąwozu Tygrysa, którą odbył w towarzystwie rotmistrza i porucznika Pardera. Opowiedział o nocnych wyprawach rotmistrza. Skończył stwierdzeniem, że ostatnia przejażdżka Verdoja i Pardera była również związana z planowanym morderstwem.

Natychmiast po jego wystąpieniu odezwał się rotmistrz, wbrew zapewnieniom, że nic mówić nie będzie.

— Mam wrażenie, że otaczają mnie obłąkańcy! Ten człowiek opowiada tu wydumane bajki, a wy dajecie się na to nabierać! Jak śmiecie stawiać pod sąd dwóch kawalerów, oficerów republiki! Tej hańby nie zapomnę! Kiedy tylko skończycie tę komedię, wszyscy zostaniecie ukarani.

Doktor znowu zabrał głos.

— W każdej chwili — powiedział — mogę przedstawić dowody. Gdy ci dwaj panowie odjechali dziś z hacjendy, udałem się za nimi wraz z porucznikiem. Śledziliśmy ich. Otóż Verdoja urządził sobie pod pewnym kamieniem w lesie coś w rodzaju skrzynki pocztowej. Dzisiejszy list brzmiał mniej więcej tak: „Bądź w pobliżu tego miejsca.

O północy spotkamy się tutaj, przy kamieniu. Będziesz się musiał wytłumaczyć”. Nie sądzę, aby Verdoja mógł się tego wyprzeć.

Gdy wspomniał o tajnej skrytce i wyciągnął kartkę, aby ją przeczytać, oskarżeni pobledli. Sternau ciągnął dalej:

— Przyznaję, że podsłuchiwałem rozmowy, które prowadził oskarżony. Mam świadków, których zeznania będą najlepszym dowodem.

Na skinienie doktora wprowadzono sześciu Meksykan. Kiedy Verdoja ich zobaczył, ugięły się pod nim nogi. Jeńcy zeznawali wprawdzie z zakłopotaniem, ale w pełni potwierdzili słowa Sternaua. Już dla nikogo nie ulegało wątpliwości, że obie kartki pisał Verdoja. Rotmistrz nie mógł temu zaprzeczyć.

Oskarżeni odmówili jakichkolwiek wyjaśnień.

— Wina oskarżonych została dowiedziona — oświadczył porucznik-przewodniczący. — Według ustawy Verdoja zasłużył na karę śmierci. Współwiny porucznika Pardera nie chcemy badać. Zebraliśmy się na sąd honorowy, jesteśmy więc powołani tylko do ustalenia, czy możemy nadal służyć pod tymi ludźmi. Co do mnie oświadczam, że nie mogę ani minuty dłużej.

— Nie pozwalam! — krzyknął Verdoja.

— Nie zatrzyma pan ani mnie, ani innych, jestem bowiem przekonany, że wszyscy pójdą za moim przykładem.

— Niech tylko spróbują!

Stary wachmistrz podniósł się z miejsca.

— I ja również oświadczam, że dłużej nie będę służył pod szubrawcami. Mam nadzieję, że zgodzą się z nami wszyscy towarzysze.

Verdoja głośno protestował, ale przekrzyczeli go podoficerowie i żołnierze. Wołali, że nie chcą

więcej słyszeć o szubrawcach rotmistrzu i poruczniku, chcą natomiast, aby rotmistrzował im lubiany młody porucznik. Gdy się nieco uspokoił, przewodniczący powiedział:

— Sąd honorowy spełnił swą powinność. Obejmuję dowództwo szwadronu, oficerów uzupełnię według kolejności. Raport w tej sprawie przekażę seniorowi Juarezowi. On zadecyduje o dalszym losie naszego oddziału. Winnych i ich najemników oddajemy w ręce tych, na których chcieli dokonać zbrodni. Pozostaną więc tutaj, a my za kwadrans ruszamy do Monclovy.

Słowa porucznika przyjęte zostały oklaskami. Potem żołnierze odprowadzili więźniów do tych samych pomieszczeń, w których przedtem byli zamknięci, porucznik zaś udał się do swego pokoju, by napisać raport do Juareza i wysłać go jak najprędzej. Wkrótce pożegnawszy serdecznie mieszkańców hacjendy, odjechał ze swoim szwadronem.

Trudno opisać stan Verdoja i Pardera. Rotmistrz kipiał gniewem, czuł się sromotnie upokorzony i łaknął zemsty. Starał się jednak nad sobą zapanować, aby Pardo niczego nie zauważył. Dłuższy czas obaj milczeli. Wreszcie odezwał się Pardo, który wyglądał przez okno:

— Dwaj vaquerzy stoją przed domem. Są uzbrojeni od stóp do głów. Widać pilnują nas. Ale, rotmistrzu, niechże mi pan wytłumaczy swoje zachowanie.

— Co takiego? — zapytał Verdoja na pozór spokojnie.

— Zostaliśmy w niesłychany sposób zelżeni, a pan się poddał decyzji tego, pożałuj Boże, sądu. Zaczynam wątpić w prawdziwość informacji, których mi pan udzielił. Mówił senior o opiece wysoko postawionej osoby, o zapłacie, którą miałem otrzymać...

— Pardo, czy mam pana nazwać głupcem? Czy nie widzi senior, że to całe zajście to jedynie nieprzyjemny epizod, ale w gruncie rzeczy obojętny dla nas? Ten świeżo upieczony rotmistrz miał wprawdzie prawo tak postąpić, ale to, co dziś straciliśmy, odzyskamy stokrotnie. Mam rozkaz unieszkodliwić pewne osoby bez względu na okoliczności i stanie się to, choć na razie muszę znosić tego rodzaju przykrości.

— Czy jest pan tego pewny? W jaki sposób zdołamy unieszkodliwić tych ludzi? Przecież to oni mają nas w swych rękach i mogą nas zabić!

Verdoja obawiał się tego samego, ale dla niepoznaki nadrabiał miną. Zdawał sobie sprawę, że od Juareza nie może się niczego dobrego spodziewać, a w partii przeciwnej Juarezowi spotka się tylko z brakiem zaufania, z nieustanną i czujną inwigilacją. Postanowił więc zrezygnować zupełnie ze służby wojskowej i poświęcić się dwóm celom. Jednym miało być zdobycie ziemi, którą mu obiecał Cortejo, drugim zaś Emma. Poniżenie i hańba, jakich doznał z jej powodu, jeszcze bardziej wzmogły jego pragnienie posiadania tej kobiety. Do zrealizowania tych zamiarów potrzebny mu był ktoś, na czyją wierność i przywiązanie mógłby zawsze liczyć. Pardo nadawał się do tego najlepiej. Perorował więc, starając się usidlić i pozyskać oficera:

— Właściwie jestem zadowolony z tego, co zaszło. Służba utrudniała mi wykonanie owego ważnego zadania, teraz mogę działać swobodnie. Czy pan pamięta wysokość swego długu u mnie?

— Jestem seniorowi winien kilka tysięcy piastrów.

— Sumy tej nigdy nie będzie pan w stanie zwrócić, jeśli pozostanie pan tym, kim jest. Niech mi senior dopomoże, a anuluję cały dług, ponadto zapewnię panu awans i nagrody. No i jest jeszcze ta piękna Indianka Karia...

— Do licha! Jeżeli pan dotrzyma tych obietnic, jestem gotów na wszystko.

— Może pan być mnie pewny. A co do obaw, że mogą nas zabić, to powiem panu tylko tyle, że strach ma wielkie oczy. Uwolnię nas. Wtedy z miejsca przystąpimy do dzieła — na samą myśl o tym uśmiechnął się szatańsko.

— Hańba, której doznaliśmy, wymaga wyrafinowanej zemsty — wtrącił Pardo.

— i będzie taka. Odpłacę tym ludziom pięknym za nadobne: pojme ich i wtrące do lochu. Niedaleko mojej hacjendy wznosi się stary ołtarz meksykański, na którym składano ofiary. Jest to piramida, a w niej niezliczone korytarze i jaskinie, które ja tylko znam. Tajemnicę tej budowli odziedziczyłem po przodkach. W tych jaskiniach będą gnić nasi więźniowie. Tam umieścimy również Emmę i Karię.

— Jest pan istnym diabłem — uśmiechnął się Pardo — ale bardzo sympatycznym.

— Powoduję się jednak nie tylko chęcią zemsty, ale i wyrachowaniem. Obiecano mi bardzo wiele za unieszkodliwienie tych ludzi. Czy przyrzeczenie będzie dotrzymane? Jestem przekonany, że tak, ale w naszych niespokojnych czasach ostrożność nie zawadzi. Jeżeli zabiłbym tych trzech i nie zechciano by mi za nich zapłacić, nie mógłbym pisać ani słowa, a tym samym zostałbym wystrychnięty na dudka. Żywi będą moim atutem. Jak pan widzi, dbam bardzo o nasze wspólne dobro.

— Mam dla pana coraz większe uznanie. Jest pan sprytny, ostrożny i przebiegły jak lis. Na pewno powiedzie się ten plan. Może senior liczyć na mnie. Ale czy podołamy trzem mocnym mężczyznom i dwóm kobietom?

— O to się nie martw, senior. W Meksyku jest dosyć ludzi chętnych do takiej roboty za garść srebrnych pieniędzy.

— Ale będą nas chyba ścigać?

— I tego się nie lękam. Uciekniemy przez pustynię Mapimi. Tam nikt nas nie znajdzie. Tego może senior być pewien.

— Przez pustynię Mapimi? — przeraził się Pardo. — Przecież tam zginiemy.

— Niech się pan nie obawia. Znam tę pustynię jak własną kieszeń. To nieprawda, że jest tam tylko piasek i skały. Rosną na niej lasy, w których dosyć wody i owoców, aby nie umrzeć z głodu i pragnienia.

W tym samym czasie w jadalni hacjendy radzono nad tym, co zrobić z rotmistrzem i porucznikiem Parderem. Mariano uważał, że należy ich rozstrzelać, reszta jednak sprzeciwiła się temu, wychodząc z założenia, że zbrodnia została wprawdzie zamierzona, lecz nie wykonana. Zresztą, nie było jeszcze wiadomo, jak oceni sprawę Juarez. Lepiej więc puścić ich wolno, zwłaszcza że ponieśli już karę przez utratę władzy w prawej ręce. Rada w radę postanowiono zatrzymać broń jeńców, a ich samych uwolnić po dwóch dniach, aby nie mogli porozumieć się z Juarezem prędzej, niż przybędzie od niego wysłany z hacjendy goniec. Co się tyczy współwinnych planowanej zbrodni, Sternau dotrzymał przyrzeczenia. Zwrócono im konie, sztylety i lassa i kazano natychmiast wyjechać z hacjendy, zagroziwszy, że każdy zostanie zastrzelony na miejscu, gdy zjawi się w jej pobliżu.

Na trzeci dzień Verdoja i Pardo stanęli przed mieszkańcami hacjendy. Sternau powiadomił ich o tym, co ustalono. Bez słowa Wsiedli na konie i skierowali się ku miastu Saltilio, położonemu w południowej części prowincji Coahuila. Po drodze zamienili mundury na cywilny strój. Wkrótce wszelki ślad po nich zginął.

PORWANIE

Po dniach obfitujących w tak niezwykle wydarzenia nastąpiło w hacjendzie kilka tygodni spokoju. Sternau postanowił odłożyć wyjazd do czasu, aż Unger wróci do zdrowia, każdy bowiem najbliższy a nie przewidziany przypadek mógł niedobrze wpłynąć na stan jego umysłu i nawet zagrażać życiu. Po dwóch tygodniach chory opuścił łóżko, po trzech spacerował po ogrodzie, a po miesiącu odbywał już dłuższe przechadzki. Umysł jego pracował zupełnie normalnie. Od chwili gdy wróciła mu pamięć, prześladować go zaczęła myśl o zemście na młodym Rodrigandzie. Pewnego dnia oświadczył przyjaciółom, że pragnie się do nich przyłączyć. Ponieważ musiał odzyskać sprawność w jeździe konnej — czekała ich przecież daleka wyprawa — przyjaciele, chcąc nie chcąc, czekali aż organizm rekonwalescenta będzie mógł znieść trudy podróży.

Tak minęło kilka tygodni.

Mariano korespondował z narzeczoną. Wysłał do niej dwa listy, odpowiedziała na oba. Błagała, aby w dalszym ciągu był we wszystkim posłuszny Sternauowi, zapewniała o swej miłości i przywiązaniu. Doktor pisał do żony przed wyjazdem z Veracruz do Meksyku. Prosił, aby odpowiedź wysłała do stolicy na adres Amy Dryden, a przyjaciółka przekaze mu ten list, gdziekolwiek by się znajdował. Pewnego dnia Mariano otrzymał trzecią przesyłkę od ukochanej. Koperta była dość gruba. Gdy ją otworzył, znalazł list do siebie od Amy i do Sternaua z Reinswalden. Ten doktora składał się z kilku stron: na jednej pisała do Ungera żona i mały Kurt. Roseta donosiła, że wszystkim powodzi się dobrze. Przeczytawszy list, Sternau włożył go do portfela, wyszedł za hacjendę, schwytał najdzikszego konia, dosiadł go i pognął na sawannę. Chciał być sam ze swymi myślami. Rekonwalescent odbywał codziennie w towarzystwie doktora przejażdżki konne. Wkrótce stan jego poprawił się do tego stopnia, że mógł już na dobrym koniu, o równym kroku, brać udział w dalszych wycieczkach. Sternau ustalił dzień odjazdu. Mieli pozostać w hacjendzie jeszcze przez tydzień.

Pedro Arbellez, przyjąwszy dzierżawę z rąk Juareza, często bywał w hacjendzie Vandaqua. Pewnego popołudnia poprosił przyszłego małżonka córki, aby mu towarzyszył. Ponieważ zmrok zapadał, postanowili wrócić dopiero następnego dnia. Wkrótce po ich odejździe Sternau zobaczył przez okno jakiegoś jeźdźca, który pędził w kierunku hacjendy. Gdy zbliżył się, Sternau poznał po uniformie, że to oficer kawalerii. Zszedł więc szybko do zebranych w jadalni domowników i zakomunikował im nowinę.

Oficer stanął wkrótce na dziedzińcu, gdzie powitała go Emma jako pani domu.

— Czy to jest hacjenda del Erina? — zapytał przybysz skłoniwszy się grzecznie.

— Tak — odpowiedziała.

— Właścicielem jest Pedro Arbellez?

— Tak, jestem jego córką.

— Benito Juarez posyła mnie jako gońca z wiadomościami do Monclovy. Wódz mój powiedział, że senior Arbellez udzieli mi gościny na wypadek, gdybym przed nadejściem nocy nie mógł dotrzeć do celu.

— To się samo przez się rozumie. Ojca wprawdzie nie ma, wróci dopiero jutro, ale pan znajdzie w naszym domu wygodny odpoczynek. Proszę zostawić konia vaquerom i pójść za mną do jadalni.

Kiedy tam weszli, Emma przedstawiła nieznanego obecnym. Usiadł przy stole i zaczął jeść kolację. W rozmowie nie brał prawie udziału. Gdy Sternau zapytał go o miejsce pobytu Juareza, odparł wymijająco:

— Dyplomatyczne i wojskowe względy nie pozwalają mi odpowiedzieć na to, senior. Juarez nie chce, by wiadano, gdzie przebywa.

Zabrzmiało to dziwnie. Sternau obrzucił oficera badawczym spojrzeniem i zrezygnował z dalszych pytań. Wkrótce gość oświadczył, że chciałby się udać na spoczynek, gdyż będzie musiał wyruszyć bardzo wcześnie. Stara Maria Hermoyes wskazała mu pokój, w którym miał przenocować. Wszedłszy do niego, jak stał, w ubraniu, z papierosem w ustach, rozciągnął się w hamaku. Ćmił tak jednego papierosa po drugim, nasłuchując, co się dzieje na korytarzu. O północy podszedł z lampą do okna i dwukrotnie zatoczył nią koło, po czym ją zgasił. Po kilku minutach ktoś rzucił w szybę garść piasku. Okno otworzyło się.

Rozmowa w jadalni ożywiła się dopiero po odejściu przybysza, obecność jego bowiem krępowała domowników. W oczach miał coś nieprzyjemnego, głos zaś ostry, odpychający. Najbardziej nie podobał się on Sternauowi. Tym bardziej że doktor zauważył, iż mundur źle na nim leży, jakby był nie na jego miarę skrojony. Z każdą minutą niepokój Sternaua wzrastał. Jakiś głos wewnętrzny przestrzegał go przed tym człowiekiem. Czy był on istotnie wysłannikiem Juareza? Verdoja i Pardo są nie wiadomo gdzie i przysięgali zemstę... Od chwili gdy Arbellez zarządza Vandaquą, del Erina jest prawie pozbawiona vaquerów. Niedobrze... Wyszedł na korytarz i nasłuchiwał pod drzwiami. Co porabia nieznajomy? Widocznie śpi, bo w pokoju cisza. Sternau wszedł więc na dziedziniec; chciał go obejść i rozejrzeć się dokoła. Nie przeczuwał, co go spotka.

Tuż przed zachodem słońca od strony Saltilio zbliżał się do hacjendy oddział jeźdźców, liczący dwunastu ludzi. Verdoja i Pardo jechali na czele. Z nastaniem ciemności zatrzymali się w lesie, w którym leżał ów kamień, służący niedawno rotmistrzowi do porozumiewania się z bandytami. Jeźdźcy zsiadli z koni, zaprowadzili je w zarośla i przywiązali do drzew. Dwóch ludzi zostało na warcie, reszta ruszyła ku hacjendzie piechotą. Verdoja i Pardo rozmawiali półgłosem:

— Szczęśliwy to traf, że nasze mundury znalazły się w mieście. Inaczej Emilio nie mógłby tak łatwo tam się dostać.

— Żeby go tylko nie zdemaskowali.

— To sprytna bestia, nie zdradzi się żadnym gestem czy miną. Myślę, że wszystko pójdzie gładko.

Był nów, więc na dworze panowała ciemność. Ludzie rotmistrza obeszlili hacjendę i około północy przekradli się tylnym wejściem.

— Na górze są pokoje dla przyjezdnych — rzekł Pardo. — Za chwilę otrzymamy znak. Czy tymczasem przeleziemy przez płot?

— Tak, ale tylko my dwaj. Żołnierze muszą zostać po tej stronie.

Verdoja i Pardo przeskoczyli przez płot i ukryli się w pobliżu. Zaledwie przykucnęli, usłyszeli kroki na piasku dziedzińca.

— Musimy przyspać do ziemi... Ktoś idzie... — szepnął Verdoja.

Sternau, zbliżający się wolno i cicho, przystanął u węgła domu, nadśłuchiwał przez, chwilę, po czym ruszył dalej. Pardo mimo ciemności rozpoznał doktora.

— To on. Co zrobimy?

— Zdziele go kolbą. Później mielibyśmy z nim więcej kłopotu.

— Ale gdy zauważą, że go nie ma?

— Nikt nie zauważy. Wszyscy są już w łózkach. Uwaga! Verdoja ujął dubeltówkę za lufę i zaczął się skradać za Sternauem. Grunt był tu pokryty trawą, która tłumiała odgłos kroków. Znalazłszy się w pobliżu doktora, schylił się na moment, by zmierzyć przy świetle gwiazd dzielącą ich odległość. I skoczył. Sternau miał ucho wyczulone. Usłyszawszy za sobą lekki szelest, odwrócił się, ale w tejże chwili otrzymał w głowę tak straszliwe uderzenie, że padł na ziemię, nie jęknąwszy nawet.

— Pardo! — szepnął eks-rotmistrz. — Do mnie!

— Ma go pan?

— Tak, właśnie go wiążę. Każ sobie rzucić przez płot jakiś knebel.

Po chwili Pardero wrócił z kneblem.

— No, gładko poszło, przyjacielu. To jedyny ptaszek, którego należało się obawiać, z innymi nie będziemy mieli kłopotu. A tam Emilio daje znaki.

— Chodźmy więc do niego.

Szybko pobiegli do okna i sypnęli w nie piaskiem. Po chwili byli w pokoju Emilia. Powiedzieli mu o schwytaniu Sternaua, a on im zdał relację z tego, co wyszpiegował.

— W porządku — powiedział Verdoja. — Wiem, w którym pokoju śpi każda z interesujących nas osób. Czy masz latarkę?

— Mam. Czy zapalić?

— Naturalnie. A teraz za mną.

Cicho otworzyli drzwi i jeden za drugim wyszli na korytarz, Verdoja zaprowadził ich pod drzwi pokoju Mariana. Zapukał cicho kilka razy.

— Kto tam?

— To ja, Sternau — odparł szeptem ledwie dosłyszalnym.

— Ach, to ty. Co się stało?

— Otwórz prędko. Mam coś bardzo ważnego.

— Zaraz.

Słysząc było, jak w pokoju skrzypnęło łóżko.

Mariano zarzucił na siebie ubranie i otworzył.

Pojmano go w jednej chwili. Poczul na szyi czyjeś ręce, które zacisnęły mu gardło tak, że nie mógł odetchnąć ani wydać z siebie dźwięku. Chciał się bronić, ale kilka mocnych ramion unieruchomiło go całkowicie. Potem związano mu ręce i nogi rzemieniami i zakneblowano usta. Był jeńcem.

— No, z tym sprawa załatwiona. A teraz do Ungera — rozkazał Verdoja.

Z Ungerem poszło im równie sprawnie, jak z Marianem. Schwytano Sternaua, Mariana i Ungera, a cały dom był pogrążony we śnie.

— Pora do seniority — znów rozkazał Verdoja. Zapukali cicho do drzwi Emmy.

— Kto tam? — zapytała. Verdoja starał się nadać swemu głosowi wysokie i miękkie brzmienie.

— To ja, Karia — wyszeptał.

— Czego chcesz?

— Muszę z tobą pomówić. Otwórz, Emmo!

— Po co?

— Chodzi o tego przybysza. Nie wiem, czy mam obudzić seniora Sternaua.

Emma dała się wciągnąć w pułapkę.

— Ach, więc grozi niebezpieczeństwo? Zaczekaj, zaraz otworzę.

Podniosła się z łóżka, odsunęła zasuwkę drzwi.

— Wejdz. O co chodzi?

Verdoja wpadł do pokoju i chwycił ją za gardło. Upadła na podłogę, nie próbując nawet się bronić. Ze strachu straciła przytomność, leżała bez ruchu. Teraz udali się do sypialni Indianki. I tutaj podstęp się udał, tylko że Karia nie zemdliała. Była przecież córką wodza Indian i nie miała tak delikatnych nerwów, jak Meksykanka. Skrępowano ją i zakneblowano usta.

Złoczyńcy mieli teraz wszystkie ofiary w ręku. Verdoja i Pardero wiedzieli, że na dole, w oficynie, śpią vaquerzy. Sprowadziwszy więc swych ludzi, zabronili im płądrowania, obawiając się, że może powstać hałas. Po trzech zbirów pilnowało Mariana i Ungera. Verdoja udał się do Emmy,

Pardero zaś do Karii.

Gdy eks-rotmistrz wszedł do pokoju córki hacjendera, było w nim zupełnie ciemno. Zapalił świecę. Emma zaczęła wracać do przytomności. Rozkazał drżącej z przerażenia dziewczynie, by się ubrała, sam zaś wyjął z szafy rzeczy niezbędne do długiej konnej jazdy.

Karia nie leżała bez ruchu na podłodze. Miotła się to w jedną, to w drugą stronę, usiłując wyzwolić się z więzów. Pardero wszedł, zamknął drzwi za sobą i zapalił świecę. Rozluźnił nieco sznury krępujące dziewczynę, nie uwolnił jej jednak rąk. Była już zupełnie spokojna. Początkowo patrzyła na niego z nienawiścią, teraz oczy miała zamknięte. Mogło się wydawać, że wszystko, cokolwiek ją jeszcze spotka, przyjmie obojętnie.

Otworzyły się drzwi i stanął w nich Verdoja.

— Jesteście gotowi? — zapytał.

— Tak.

— Weź jeszcze kilka chust, koców i jazda.

Ubrano również Mariana i Ungera. Byli tak skrupowani, że nie mogli się ruszyć, zataszczono ich więc na dziedziniec. Verdoja i Pardero znieśli tam Emmę i Karię.

Nikt w hacjendzie nie słyszał, co się dzieje. Bandyci otworzyli główną bramę i wynieśli przez nią Sternaua. Zalegał gęsty mrok, nie widzieli więc, czy oczy ma otwarte czy zamknięte, przez cały czas jednak leżał bez ruchu. Po chwili wszyscy jeńcy znaleźli się za bramą; każdego dźwigało dwóch ludzi. Jeden z napastników został, by zamknąć bramę, a następnie przeskoczył przez płot i przyłączył się do towarzyszy. Cała akcja trwała zaledwie godzinę w. W dwa kwadransy później wszyscy byli już w lesie przy koniach. Dla jeńców przeznaczono pięć wierzchowców, dwa miały damskie siodła. Przymocowano ofiary do koni. W trakcie tego okazało się, że Sternau odzyskał przytomność. Trzynastoosobowa banda podzieliła się na pięć grup. Każda miała prowadzić jednego jeńca; Ungera, Mariana i Sternaua po trzech ludzi, Emmę i Karię po dwóch. Dla utrudnienia pogoni rozjechano się w różnych kierunkach. Miejsce spotkania wyznaczono z góry. Wszyscy mieli tam dotrzeć najpóźniej następnego dnia wieczorem. Na kilka dni przed napadem każdy rozbójnik dokładnie zbadał drogę, którą wypadało mu przebyć. Nie wątpiono więc w powodzenie wyprawy. Dwie tylko okoliczności mogły pokrzyżować plany Verdoja: zdrada któregoś z własnych ludzi albo rozbicie choćby jednej grupy przez liczniejszych przeciwników. Zdał sobie z tego sprawę dopiero rankiem przy pierwszym postoju. Miał obok siebie Emmę i jednego Meksykanina. Cóż miał jednak robić? Tylko jechać dalej. Początkowo droga prowadziła wśród pagórków, a potem wzdłuż zachodniego stoku gór, ciągnących się od północy na południe stanu Coahuila. Gdy słońce stanęło w zenicie, dotarli do skraju pustyni Mapimi. W tym właśnie miejscu miały się spotkać wszystkie grupy. Verdoja czekał z niepokojem.

W godzinę później ujrzał oddział jeźdźców. Gdy zbliżyli się nieco, odetchnął z ulgą. Rozpoznał ośmiu ludzi; była to więc eskorta Mariana i Sternaua wraz ze swymi jeńcami. Obaj byli silnie skrupowani. Tylko kneble wyjęto im z ust, aby mogli oddychać swobodnie.

Pod wieczór zjawiała się ku zadowoleniu eks-rotmistrza reszta zbójów, prowadząc Karię i Ungera. Żaden z oddziałów nie był ścigany. Verdoja poczuł się całkowicie bezpieczny.

Rozbito obóz i rozpalono ognisko. Zjedzono kolację, a potem nakarmiono jeńców, bo ręce mieli w dalszym ciągu związane. Ustawiono warty i ułożono się do snu. Verdoja objął pierwszą straż, chciał bowiem podręczyć pokonanych przeciwników. Leżeli w środku koła, utworzonego przez jedenastu Meksykanów. Eks-rotmistrz podszedł do Ungera i zapytał:

— No, chłopcze, jak ci się podobał spacer ? Mam wam przekazać ukłony od kogoś bardzo życzliwego.

— Któż to taki?

— Niejaki Cortejo.

— Z Meksyku?

— Tak. To, zdaje się, wasz dobry przyjaciel.

Verdoja świadomie zdradził nazwisko swego mocodawcy. Gdyby bowiem udało mu się dowiedzieć, dlaczego Cortejo tak usilnie pragnął śmierci tych ludzi, mógłby mieć atut przeciwko niemu.

— Niech go diabli porwą! — zawołał Unger.

— To was raczej diabli porwą.

— Ale razem z tobą.

— Zamilcz, łotrze, bo jeśli nie, to mnie popamiętasz. Kopnął Ungera i podszedł do Mariana.

— Przekonałeś się chyba, jak się kończy sekundowanie szubrawcy. Teraz cierpisz za niego. Czy znasz Corteja?

Mariano milczał.

— Znasz go? — powtórzył Verdoja. Mariano milczał nadal.

— Widzę, że trzeba cię nauczyć posłuszeństwa. Będziesz ty śpiewać, oj, będziesz!

Kopnął go i podszedł do Sternaua, który był związany tak mocno, że — zdawało się — nie mógł ruszyć ani ręką, ani nogą.

— No i cóż, psie przeklęty? — syknął Verdoja. — Okaleczyłeś nas obu, spotka cię więc podwójna kara. Powiedz mi, jakie to gwiazdy widziałeś, kiedy zdzieliłem cię kolbą przez łeb?

Sternau leżał nieruchomo.

— Nie chcesz odpowiadać? Poczekaj no, już ja cię zmuszę do mówienia!

Podniósł nogę, by kopnąć doktora, ale ten błyskawicznym ruchem podciągnął skrępowane w kostkach nogi, wyprostował je i uderzył go nimi w brzuch z taką siłą, że eks-rotmistrz zwałił się na ziemię, głową padając prosto w ognisko. Podniósł się wprawdzie natychmiast, ale ryczał tak głośno, że zbudził wszystkich:

— Moje oko, moje oko, nic nie widzę!

Zbóje podbiegli do niego. Okazało się, że ukłuł się drzazgą płonącego drewna, koniec jej tkwił jeszcze w oku, sprawiając nieopisany ból. Verdoja jęczał bez przerwy i błagał, by mu drzazgę wyciągnięto, ale nikt nie chciał się tego podjąć.

— To może zrobić tylko jeden człowiek — powiedział Pardero — Sternau.

— Co? Ten pies, sprawca mego nieszczęścia? Przenigdy!

— Jest lekarzem. Tylko on potrafi wyciągnąć drzazgę. Verdoja prawie mdlał z bólu. Minęło kilka minut.

— No dobrze — zgodził się wreszcie — ale potem zwinę go w kabłąk i przywiążę do konia.

Pardero podszedł do Sternaua i zapytał:

— Czy senior jest okulistą?

— Tak jest — odparł bez wahania Sternau, ponieważ w tym momencie zaświtała mu myśl o ucieczce.

— Czy usunie pan drzazgę?

— Tego nie wiem. Wpierw muszę zbadać oko.

— Więc dobrze. Rozluźnię panu więzy na tyle, że będzie pan mógł wstać.

Podprowadziwszy doktora do ogniska, przy którym Verdoja jęczał przeraźliwie, porucznik polecił:

— Niech go pan zbada!

Verdoja odsunął rękę, którą zasłaniał uszkodzone oko, i patrząc na Sternaua zdrowym, mruknął

przez zęby:

— Łotrze, jeżeli w tej chwili nie przywrócisz mi wzroku, każę cię przypalać rozżarzonymi szczypcami. Zaczynaj!

Pardero świecił z boku pochodnią. Sternau był przekonany, że spośród wszystkich obecnych tylko Unger rozumie po niemiecku. Nachylony nad okiem, powiedział więc głośno:

— Mut, ich werde euch befreien!

— Coś powiedział?! — ryknął Verdoja.

— My, lekarze, posługujemy się łaciną. Wymieniłem więc łacińską nazwę tego skaleczenia.

— Czy będzie można usunąć drzazgę?

— Tak.

— Więc usuń ją w tej chwili.

— Mam przecież związane ręce.

— Rozwiążcie go — rozkazał Verdoja.

— A jeżeli ucieknie? — wtrącił Emilio.

— Zwariowałaś? — obruszył się Pardero. — Trzynastu nas, jakżeby uciekł? Utwórzcie koło i weźcie go w środek.

Tak też zrobili. Sternau przystąpił do zabiegu.

— Nie mogę wyciągnąć drzazgi palcami — odezwał się po chwili. — Dajcie mi sztylet.

Usłuchano go. Był teraz wolny od więzów i z bronią w ręku. Ale jak zdobyć strzelbę i naboje? Jak wydostać się stąd? Dookoła obozu pasły się konie. Karabiny były ustawione w piramidy. W tym momencie dostrzegł u pasa Verdoja coś w rodzaju trzyczęściowej torby na pieniądze, kule i proch. W ciągu sekundy miał gotowy pian. Położył rękę na głowie ranego.

— Niech pan otworzy chore oko, a zamknie zdrowe — rozkazał.

Eks-rotmistrz spełnił polecenie. Doktor zbliżył sztylet do jego twarzy. Nagle opuścił go w dół, odciął torbę od pasa i chwyciwszy ją w zęby, z całej siły odepchnął Verdoja swymi herkulesowymi ramionami w kierunku stojących obok Meksykanów. Trzech czy czterech upadło na ziemię. Sternau przeskoczył ich i zaczął uciekać ogromnymi susami. Za chwilę miał już w ręku strzelbę i dosiadłszy pierwszego z brzegu konia, pogalopował na nim.

Stało się to wszystko niemal błyskawicznie. Nim zbóje zaczęli strzelać, oddalił się już znacznie. Ani jedna kula go nie dosięgła.

— Jazda! Na koń! Za nim! Musimy go złapać! — ryczał Verdoja.

Kilku bandytów ruszyło w pościg. Sternau liczył się oczywiście z tym. Nie zwalniając galopu, badał strzelbę.

Była to dubeltówka, mógł więc zabić z niej jedynie dwóch ludzi. Zawrócił i wkrótce zatrzymał konia. Było zupełnie ciemno. Zwierzę stało spokojnie. Sternau zeskoczył na ziemię i zmusił wierzchowca do położenia się. Niewiele czasu upłynęło, a Meksykanie — jadący nie ławą, lecz szeroką linią — minęli ich. Sternau w okamgnieniu znowu dosiadł konia i pognął za bandytami. Po kilku minutach znalazł się między dwoma. Zdjął palec z cyngla, ujął strzelbę za lufę i zbliżył się do tego, który jechał po jego prawicy. Meksykanin, myśląc, że to kolega, zawołał:

— Nie pchaj się na mnie! Odsuń się w lewo!

W tej chwili spadła na niego kolba Sternaua i zdruzgotała mu głowę. Doktor chwycił za uzdę jego wierzchowca i zatrzymał. Ściągnął z jeźdźca, co mu było potrzeba, a konia puścił wolno. Po minucie czy dwóch dogonił drugiego Meksykanina. Ten zapytał:

— Powiedziałeś, żebym się przesunął w lewo, a teraz sam się pchasz na mnie? Co ty wyprawiasz?

— Zaraz, zaraz — odparł Sternau.

Zanim bandyta zmiarkował, co się dzieje, uderzenie kolby zmiażdżyło mu czaszkę. Sternau również zatrzymał jego konia, ogołocił trupa z broni, po czym odpędził zwierzę.

Zaczął nasłuchiwać. Zorientowawszy się, w którym kierunku pojechali ścigający, popędził za nimi, sprawdzając po drodze zdobytą broń. Obje jednorurki były naładowane, mógł więc, doliczając dubeltówkę, posłać cztery strzały. Wkrótce zbliżył się do dwóch Meksykanów.

— Hola! — zawołał. — Do mnie, mam go!

Zatrzymał konia, a oni zrobili to samo,

— Gdzie jesteś? — zapytał jeden z nich.

— Tutaj. Upadł na ziemię.

Zaczęli cwałować do niego. Sternau wziął w rękę dubeltówkę. Rozległy się dwa strzały, obie kule trafiły. Jeźdźcy zachwiali się i zwalili z koni, te zaś stały spokojnie, przebierając kopytami. Doktor nasłuchiwał pilnie. Dookoła panowała zupełna cisza. A więc goniło za nim tylko czterech. Zeskoczył z siodła i nachylił się nad zabitymi. Nietrudno było sprawdzić, że nie żyją. I im odebrał wszystko, co mieli przy sobie. W sumie zdobył pięć strzelb, znaczną liczbę sztyletów i pistoletów, dwa lassa i wystarczającą ilość amunicji. Prócz tego w torbie było sporo złotych monet i banknotów. A więc nie brakło mu niczego prócz żywności, lecz o nią nie troszczył się zbyt. Szybko przeniósł łupy na oba siodła, sprzągnął razem konie, ujął za cugle i ruszył w kierunku nieznannej pustyni.

Musiał teraz zrobić wszystko, aby zmylić pogoń. Wiedział doskonale, że z nastaniem dnia trupy zostaną znalezione i Verdoja będzie szukał jego śladów. Przypuszczał także, że z hacjendy wyruszy wyprawa przeciw zbójcom i dlatego dobrze byłoby zatrzymać rotmistrza jak najdłużej w tej okolicy. Postanowił więc zatoczyć koło. Kilka godzin galopował w kierunku zachodnim, kolejne dwie w południowym, po czym zwrócił się ku wschodowi. O świcie dotarł do miejsca położonego o dwie godziny jazdy od obozu bandytów. Tu wreszcie pozwolił koniom na popas, sam zaś wypalił kilka papierosów, które zabrał napastnikom.

Odetchnąwszy nieco, ruszył na północ. Musiał teraz jechać z jak największą ostrożnością, w każdej chwili bowiem mógł natknąć się na Meksykanów, którzy od północy właśnie rozpoczęli pościg za nim. Minęły od świtu dobre cztery godziny, gdy dotarł tam, gdzie zestrzelił z koni dwóch ścigających. Zamiast ich trupów leżała tylko kupa kamieni. Był to dowód, że ciała zabitych odnaleziono i pochowano. Zbadawszy ślady, doszedł do przekonania, że manewr się udał: cały oddział wraz z jeńcami wyruszył jego tropem w kierunku zachodnim. Tym samym — jak zaplanował — znajdował się teraz nie przed tymi, którzy go szukali, lecz za nimi. Role się więc zmieniły: to on był ścigającym. Miało to i złe, i dobre strony. Dwa sprzęgnięte konie utrudniały pościg, ale z kolei mógł często luzować wierzchowce i dzięki temu rozwinąć większą szybkość.

Dotarł do miejsca, w którym zboczył na południe. Po śladach wywnioskował, że bandyci też się tu zatrzymali, po czym ruszyli dalej. Gdy w dwie godziny później znalazł się tam, skąd skręcił na wschód, zorientował się, że ścigający i tu się zatrzymali, ale tym razem podążyli nie jego śladami, lecz na zachód, a więc wprost ku pustyni Mapimi.

Ruszył za nimi. Indianie i myśliwi jadą zwykle gęsiego, aby z tropów kopyt końskich nie można było rozpoznać liczby jeźdźców. Meksykanie jednak nie zastosowali tej sztuczki — jechali szeroką ławą. Sternau z łatwością wyliczył, że było ich trzynastu. Świadczyło to, że z wyjątkiem czterech zabitych nikogo nie ubyło z kompanii i że cała czwórka jeńców była razem z nimi. Pełen nadziei, że jeszcze dziś wieczorem podkradnie się pod obóz i znowu unieszkodliwi paru przeciwników, ruszył naprzód.

Gdy poprzedniego wieczora czterej Meksykanie rzucili się w pościg za Sternauem, towarzysze

ich nasłuchiwali przez jakiś czas w głębokim milczeniu: Verdoja na chwilę zapomniał nawet, że boli go oko.

Panowała niczym niezmacona cisza, aż nagle gdzieś daleko padły dwa strzały.

— Mają go! — zawołał Pardo.

— Tak, ale martwego — fuknął Verdoja. — Te łotry go zabiły! Jak się zemszczę na nim? I kto opatrzy moje oko?

— Może jest tylko ranny? — wtrącił jeden z Meksykanów. — Ten doktor zdaje się mieć żelazne siły.

— W takim razie sprowadzą go tutaj. Za jakieś pół godziny powinni być z powrotem.

Minęło pół godziny, a jeźdźcy się nie zjawili. Verdoja zaczął się niepokoić.

— Dlaczego nie ma jeszcze tych psubratów? Już ja im pokażę, gdy tylko wrócą!

Minęło jeszcze pół godziny, minęła godzina, a nikt nie nadjeżdżał. Oko bolało go coraz bardziej. Łzawiło tak, że musiał zasłonić je chustką. Niewiele to pomogło. Łzy ściekały po policzku gęstą strużką. Przez całą noc nawet na chwilę nie zasnął. Na zmianę to jęczał żałośnie, to przeklinał. Przed świtem wysłał dwóch ludzi, by odszukali tych czterech zaginionych. Dosiedli koni i ruszyli. Po pewnym czasie zobaczyli na ziemi ciało jednego towarzysza. Głowę miał zgruchotaną i był doszczętnie obrabowany. Przerazili się ogromnie.

— Kto to uczynił? Czyżby Sternau?

— Nie, to niemożliwe. Przecież inni schwytałiby go podczas walki i rabunku. Musimy w każdym razie jechać dalej.

Po jakichś trzystu krokach znaleźli drugiego trupa, również ze zdruzgotaną czaszką. I on został obrabowany. Jechali dalej w milczeniu. Było im bardzo nieswojo. Po pięciu minutach natrafili na kolejne zwłoki.

— Santa Madonna, wszyscy czterej zabici! — wyszeptał jeden z nich.

— Czy ten Sternau nie jest przypadkiem jakimś diabłem wcielonym? — dodał drugi.

— Uciekajmy stąd jak najprędzej!

Popędzili co koń wyskoczy, nawet nie oglądając się za siebie.

Kiedy wrócili do obozu, otoczono ich kołem, a Verdoja zapytał:

— No i co? Czy jesteście ślepi? Nikogo nie znaleźliście?

— Znaleźliśmy trupy naszych towarzyszy. Dwaj mają zmiażdżone głowy, dwaj zginęli od kuli, wszystkich czterech obrabowano.

W oczach jeńców zabłyśły iskry nadziei, Emma zaś wydała okrzyk radości.

— Cicho! — krzyknął Verdoja. — Cieszycie się przedwcześnie. Jeszcze nam się nie wymknął! Jazda, ruszamy!

Dosiedli wierzchowców, jeńców przywiązali do koni i pojechali tam, gdzie leżeli zabici. Przy dwóch pierwszych nawet oficerowie nie mogli się zorientować, skąd idą ślady i w jaki sposób dokonano morderstwa. Konie zabitych, spłoszone przez Sternaua, uciekły. Zakopano trupy i ruszono dalej. Przy ciałach zastrzelonych sytuacja się powtórzyła. I tu po dokładnym zbadaniu terenu nie potrafiono ustalić, w jaki sposób Sternau rozprawił się z nimi.

— To istny szatan — rzekł jeden ze zbójów, żegnając się znakiem krzyża. — Bez pomocy piekła żaden zbieg nie zdołałby zabić czterech ludzi, którzy go ścigają.

— Cicho, durniu! — ofuknął go Verdoja. — Ten Sternau to po prostu przebiegły człowiek. Zabrał z sobą konie dwóch zastrzelonych, oto ślad. Szybko za nim!

Usypawszy w pośpiechu czterem zabitym mogiłę z kamieni, ruszono w dalszą drogę. W miejscu, w którym tropy skręcały na południe, zatrzymano się na naradę.

— Wraca do hacjendy — powiedział Pardo.

— Ależ skąd — obruszył się Verdoja. — Hacjenda leży w kierunku wschodnim, nie zaś południowym. Ma więc jakieś inne plany. Trudno przewidzieć jakie, tym bardziej, że przez kilka godzin zmierzał ku Mapimi. Musimy się mieć na baczności. W każdym razie jedźmy dalej po jego śladach.

Po paru godzinach przybyli na miejsce, w którym Sternau skręcił na wschód.

— Widzicie, miałem rację — ucieszył się Pardo. — Postanowił wrócić do hacjendy, by sprowadzić pomoc.

— Brednie — Verdoja na to. — Jest nas jeszcze tylko dziewięciu. Człowiek, który zabił w ciągu kilku minut czterech ścigających go ludzi, nie będzie tracił dwóch dni drogi na sprowadzenie pomocy przeciwko dziewięciu. Sternau nie jest idiotą. Droga tam i z powrotem zajęłaby mu cztery, najmniej trzy dni. A kiedy wróciłby, ślady nasze byłyby już zatarte.

— Jakie więc ma zamiary? — zapytał Pardo.

— Zabrał pięć strzelb. Jako łup? Z pewnością nie. Ponieważ jedna z nich jest dubeltówką, może oddać z nich sześć strzałów. Prowadzi z sobą konie dwóch zabitych. Po co? By osiągnąć większą szybkość przez luzowanie wierzchowców. Wszystko to wskazuje na to, że chce się z nami rozprawić.

— Ale dlaczego jedzie w kierunku wschodnim?

— Zdaje mi się, że odgadłem przyczynę: zatacza łuk. Tam, za górami, zwróci się na północ, aby zaatakować nas od tyłu. Może chce zyskać na czasie, może chce, byśmy za nim krążyli tak długo, aż nadejdzie pomoc z hacjendy. Wiecie przecież, że Sternau jest sławnym Władcą Skał. Taki człowiek jak on nigdy nie ulęknie się nas. Dowiedział zresztą tego. Teraz, gdy przejrzałem jego zamiary, nie dam się już zaskoczyć. Jestem pewien, że każdej nocy potrafiłby nam porwać z obozu kilku ludzi, choć byśmy stosowali wszelkie środki ostrożności. Dlatego nie możemy dziś rozbić obozu, musimy jechać aż do świtu. Później odetchniemy kilka godzin. Po odpoczynku znowu musimy jechać dzień i noc, dopóki rankiem nie staniemy na skraju pustyni. Pojutrze wieczorem dotrzemy do celu. Ponieważ Sternau odpoczywać będzie przez dwie noce, wyprzedzimy go znacznie.

— Czy nasze konie wytrzymają tak forsowną podróż?

— Na pewno. Jutro rano dotrzemy do stawu, przy którym będą mogły popasać i napić się wody. A pojutrze? Pojutrze mogą paść, na każdym bowiem pastwisku znajdziemy nowe konie.

— A obie dziewczyny?

— I one muszą wytrzymać. Uwolnimy jeńcom ręce, by im trochę ulżyć. Na skraju pustyni zostawimy paru ludzi, będą tam oczekiwać Sternaua. Kiedy się tylko pojawi, schwytają go lub wpakują mu kulkę w łeb. No, a teraz naprzód!

Verdoja istotnie przejrzał zamiary Sternaua. Natura obdarzyła go sprytem większym, aniżeli doktor przypuszczał. Gdyby plan eks-rotmistrza się powiódł, Sternau zostałby albo schwytany, albo zabity, jeńcy zaś umieszczeni w bezpiecznym dla Verdoja miejscu. Rozwiązano im ręce, aby sami mogli kierować końmi. Mimo to nie mogli nawet marzyć o ucieczce. Cały oddział ruszył galopem w kierunku Mapimi.

Po wykrzywionej twarzy widać było, że Verdoja cierpi, że oko boli go straszliwie, ale nie skarżył się ani słowem. Nawet myśl o zemście odłożył na później. Najważniejszą teraz rzeczą było jak najszybciej dotrzeć do celu.